Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 20 maja 1945 r. | Nr. 25

WINCENTY BEDNARCZUK

Tragedia pomyłek

I. MONACHIJCZYCY

Zdumiewającą cechą zakończonej wojny jest ilość zaskoczeń i niespodzianek, które spotkały wszystkie niemal rządy, wszystkie niemal ośrodki polityczne, sztaby i armie. A jeszcze bardziej zdumiewa to, że w gruncie rzeczy nie było ani jednej niespodzianki, że cały kierunek wojny był ściśle przewidziany, ba zapowiedziany, że znane były jej formy taktyczne i jej natężenie.

Mówi się, że Hitler zaskoczył Europę. Czym? Czy kiedykolwiek ukrywał, że zamierza obalić traktat wersalski? Politycy europejscy w okresie monachijskim byli uświadomieni co do planów Hitlera — i chociaż oznaczały one śmierć państwową dla ich narodów i śmierć cywilną dla nich samych — przyjmowali te plany, nie sprzeciwiali się im, nawet w miarę sił je popierali.

Mówi się wiele o przestępcach wojennych. Ci najwięksi uciekli przed sądem ziemskim. Przed sądem wiekuistym, przed sądem historii, obok Hitlera, po jego prawej ręce powinien by zasiąść nie Goebbels, Goering, Himmler, czy ktoś z podrzędniejszych, nawet nie Mussolini, ale dostojny sir Neville Chamberlain. I odpowiadałby nie za zbrodnię popełnioną wobec Polski, Francji, Europy, czy ludzkości — ale za zbrodnię wobec narodu angielskiego, wobec brytyjskiego imperium, nawet wobec najbliższej sobie kasty ludzkiej — wielkich kapitalistów angielskich.

Dla mnie Chamberlain jest największą zagadką tej wojny. Co się rozgrywało w zwojach mózgowych tego niewątpliwie miernego polityka, gdy dostrzegł wreszcie, że polityka przezeń prowadzona okazała się błyskawicznym biegiem imperium brytyjskiego bezpośrednio do przepaści? Pewną odpowiedzią jest rychła jego śmierć w momencie gdy Francja padając, usuwając się spod nóg, ukazała tę przepaść oczom wszystkich najmierniejszych nawet polityków brytyjskich.

Rzecz prosta, nie był osobiście w tej katastrofie zainteresowany. Nie ma takiej ceny, którą by można było przekupić szefa najobszerniejszego imperium świata. To nie Chamberlain dostawał pieniądze od Hitlera, raczej na odwrót, w swoich początkach Hitler otrzymywał subsydia od druhów Chamberlaina z londyńskiej City.

Nie ulega również wątpliwości, że osobliwości reżymu hitlerowskiego nie stanowiły atrakcji dla Chamberlaina. Człowiek jego pokroju nie lubi okrucieństwa aż bezmyślnego w swoich rozmiarach. Godził się na nie raczej z trudem, przymykał na nie oczy, nie szczędził nawet moralizatorskich uwag. Bestialstwo Hitlera, niewątpliwe i zamiłowane, zapewne w jakiejś mierze martwiło Chamberlaina i zatruwało satysfakcję, jaką miał z zamierzonej i przeprowadzanej z Hitlerem transakcji. Ale zaciął zęby, przemógł swój odruchowy wstręt do widoku krwi i z uporem interes kontynuował.

Więc nie wulgarne przekupstwo, nie sympatia ideologiczna określała postępowanie Chamberlaina. Było to wyrachowanie. I to właśnie zdumiewa najbardziej: jak ten człowiek nie umiał rachować.

Przypomnijmy sobie najogólniejsze fakty z haniebnego okresu, który historia ochrzci monachijskim, okresu inkubacyjnego drugiej wojny światowej.

Hitler doszedł do władzy dzięki terrorowi swoich bojówek. Bojówki te nie występowały bezinteresownie. Były świetnie wyekwipowane i doskonale płatne: tym najwięcej działały na miliony niemieckich bezrobotnych.

Skąd Hitler czerpał na to pieniądze? Lwią część dał mu niemiecki ciężki przemysł, przerażony hasłem upaństwowienia fabryk, głoszonym przez robotników niemieckich. Ale niemiecki ciężki przemysł i sfery finansowe były połączone tysiącznymi nićmi interesów z ciężkim przemysłem i bankami Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Upaństwowienie przemysłu niemieckiego nie leżało w interesie City i Wall Street. Te sfery niewątpliwie przeprowadzały składki na biednego Hitlerka i jego dzielnych sekundantów walczących o „wolność" niemieckiego ciężkiego przemysłu i zależność od krewnych z ducha i interesów za granicą.

To był pierwszy, pramonachijski okres hodowania drugiej wojny. Okres, by tak rzec, ekonomiczny. Bojówki Hitlera, opłacane przez niemieckie i zagraniczne sfery przemysłowo-bankowe, miały utrzymać niemiecki ciężki przemysł w ręku jego posiadaczy i nie dopuścić, by zginęły fundusze, inwestowane weń przez zagranicę.

Hitler spełnił to pierwsze zadanie, przynajmniej pozornie. Nie wywłaszczył Kruppów i Thyssenów, zlikwidował robotnicze organizacje zawodowe, zniósł strajki, robotników oddał pod kuratelę właścicieli fabryk, przez obstalunki wojskowe uruchomił przemysł i uczynił go rentowniejszym, niż kiedykolwiek przedtem.

Ale stanąwszy mocno na nogach, nie widział racji, aby się uzależniać zbytnio od swoich zagranicznych udziałowców. Nie mamy (i wątpliwe czy będziemy mieli; to rzecz nazbyt wstydliwa) danych — jak się opłaciły pieniężnie City i Wall Street inwestycje w hitleryzm. Prawdopodobnie nie był to interes kokosowy. Hitler płacił procenty raczej w towarach i o tyle, o ile otrzymywał nowe inwestycje. Honores mutant mores. Stając się potęgą polityczną, zapominał o starych przyjaciołach, przystępował do kolejnego etapu realizowania niewiarygodnego, zdawałoby się, w swoim cynizmie programu.

Wtedy zaczął się właściwy okres monachijski. Nie wiadomo kto pierwszy wpadł na tę „ideę". Do historii przejdzie ona z nazwiskiem Chamberlaina.

„Idea" monachijska sprowadzała się, mówiąc zwięźle, do skierowania Hitlera na Wschód, na ZSRR. Te dwie potęgi miały się wykrwawić i niezależnie od wyniku pojedynku, zostawić rozstrzyganie spraw europejskich tzw. demokracjom zachodnim, więc przede wszystkim Anglii.

W „idei" monachijskiej była pewna inercja, pewien obezwładniający fatalizm. Kiedy monachijczycy powiedzieli „a", dalsze litery wyskakiwały im z gardła często pomimo, a czasem wbrew ich woli. Cel ostateczny: skierowanie Hitlera na Wschód — przesłaniał wszystko inne. Hasło, że pokój jest niepodzielny, przysłowie „od rzemyczka do koniczka" sprawdzało się z przerażającą dokładnością. Jeśli nie warto było ginąć za Abisynię, to tym trudniej było później umierać za Hiszpanię, Austrię, Czechosłowację. I już nie tylko dlatego, że wszystko to okupywał cel ostateczny — Wschód, ale i dlatego, że za każdym razem gorsze, trudniejsze były pozycje wyjściowe do ewentualnej wojny obronnej. Bez Austrii Czechosłowacja była trudna do utrzymania. Bez Czechosłowacji Polska była nie do obrony. A i Polska i Czechosłowacja i Austria mogły być ratowane tylko z Rosją.

To są rzeczy znane i nie wywołujące dyskusji. Polityka monachijska sprowadzała się do równi pochyłej, która wiodła Europę do katastrofy. Kiedy tę politykę odrzucono? Czy Chamberlain dostrzegł w niej śmiertelność dla Wielkiej Brytanii i kiedy?

Tak, dostrzegł. Ale nie wtedy, kiedy się zdaje wielu, zwłaszcza nam Polakom.

Panuje u nas przypuszczenie, że Anglia zerwała z Monachium po anektowaniu przez Hitlera okrojonych Czech, po zażądaniu Gdańska i korytarza. Nieprawda.

Owszem, postępowanie Hitlera w ostatnim roku tzw. pokoju wyjaśniło monachijczykom, że Hitler bynajmniej nie życzy sobie spełniać roli posłusznego pionka na szachownicy europejskiej, kierowanego na Wschód. Że ma swoje własne interesy i że reprezentuje siłę, która może mu zapewnić załatwianie tych interesów po jego myśli. Że z agenta stał się już kontrahentem.

To stwierdzenie nie należało do przyjemnych. Ale nie zniechęciło monachijczyków. Główna linia wydawała się im nadal słuszna. Wzrosły tylko koszta, jakby powiedzieć, handlowe, przewidywany zysk malał, ale pozostawał zyskiem. Należało tylko przestrzec niesłownego kontrahenta, pokazać mu wyraźnie, że jego kredyt polityczny jest na wyczerpaniu.

Tym ostrzeżeniem — ale nie zerwaniem — **były gwarancje udzielone przez wielkiego mistrza monachijczyków, Chamberlaina, Polsce.**

Tym ostrzeżeniem — i tylko — było wypowiedzenie wojny Niemcom po ich napaści na Polskę.

Dwa fakty przekonują nas ponad wszelką wątpliwość o słuszności tej tezy.

Po pierwsze: po gwarancjach dla Polski nastąpiły pamiętne rokowania letnie w Moskwie. Rokowania, które także były tylko kolejnym ostrzeżeniem pod adresem Berlina. Delegacje bowiem angielskich i francuskich monachijczyków prowadziły te rokowania w sposób kompromitujący — bez żadnych pełnomocnictw prócz jednego — przedłużania rokowań i sabotowania jakiegokolwiek efektywnego porozumienia.

Gwarancje udzielone Polsce nie spaliły ani jednego mostu między monachijczykami a Hitlerem, ograniczyły tylko trochę (i to nieznacznie, udzielano przecież jeszcze kredytów Niemcom) ruch na tych mostach.

Co ważniejsze, nie spaliło tych mostów wypowiedzenie wojny Niemcom po napadzie ich na Polskę. Pierwsze osiem miesięcy tej „wojny", trafnie nazwanej we Francji „drôle de guerre", są okresem nader ciekawym dla historyków drugiej katastrofy europejskiej. Brak realnej pomocy Polsce nie płynął tylko z niedostatku siły wojennej Zachodu, a ten niedostatek z kolei zbyt jest znamienny, by miał być przypadkowym.

W tym okresie monachijczycy rządzący Anglią i Francją troskliwie unikali wszystkiego, co by mogło wykopać przepaść między nimi, a Hitlerem.

„Drôle de guerre" była tylko asekuracją, może nawet nie tyle ściśle polityczną, co polityczno-moralną. Na wypadek gdyby Hitler okazał się nadal niegrzeczny, monachijczycy mogli by demonstrować dokument wypowiedzenia wojny: jak to, my i hitleryzm, przecież my z nim wojujemy. A gdyby okazał się wreszcie grzeczny — no, cóż, między nimi nie stało się nic nie do naprawienia. Tak wojować można i dziesięć lat, można też zawrzeć rozejm z byle wtorku na środę.

Wiadomo, jak się skończyła „drôle de guerre". Właśnie pięć lat temu, pewnego pięknego poranka majowego Belgia i Holandia ujrzały u siebie wojnę totalną. W najbliższych tygodniach prawie jednocześnie upadła Francja, Chamberlain i „idea" monachijska.

*

Mówię: Chamberlain. Niewątpliwie, jest to czołowa, firmowa postać okresu monachijskiego. Ale zjawiska „monachijskiego" postać ta bynajmniej nie wyczerpuje. O innych monachijczykach angielskich pomówimy później. We Francji monachijczycy reprezentowali cały szereg stopni politycznej głupoty, dochodząc aż do zniepra wienia i ordynarnej zdrady. Laval był nie tylko Quislingiem, kierował przecież w swoim czasie polityką Francji niepodległej.

Ale zwykli zdrajcy nie są typowi dla zagadnienia „Monachium". Zdrada jest zjawiskiem znanym na całej przestrzeni dziejów ludzkich, niech się nią zajmuje kryminologia. W tym wypadku wystarczy nam zapamiętać: w ostrej formie choroba monachijska dochodzi do zwykłej, opłacanej zdrady.

Także i u nas mamy rasowe okazy monachijczyków w odmianie szczególnie przykrej, prowincjonalnej, czasem nie mniej a niekiedy bardziej szkodliwej od wielkich monachijczyków z Zachodu. Rząd przedwrześniowy — to komplet monachijski, a Beck, po Chamberlainie, należy do najaktywniejszych bojowników tej „idei". Wykazał on własną inicjatywę — w wypadku z Czechosłowacją, krzyżującą nawet, przez prostacką brutalność, koronkową robotę Chamberlaina.

Zagadnienie monachijczyków da się ująć w parę prostych formuł. Jak to się stało, że kierownicy potężnych, niezależnych państw doprowadzili je do katastrofy? Omawialiśmy już to niejednokrotnie. Chcąc odpowiedzieć pokrótce, bez analizy, niewątpliwie pasjonującej, ich świadomości psychicznej, operując w jedynie obiektywnej płaszczyźnie socjalnej — musimy dojść do prostej zasady: w okresie naszym, okresie wielkich przemian i wstrząsów, kategorie społeczne, rządzące w państwach starego typu, tracą więź z narodem, ich własna racja stanu odbiega od racji stanu narodu, staje się z nią sprzeczna.

Żaden robotnik, farmer czy nawet średni kupiec angielski nie straciłby na upaństwowieniu niemieckiego przemysłu. Ale City straciłaby. A Chamberlain wyrósł z City i jej rację uważa nie tylko za swoją. Uważa, co gorsza, za rację stanu narodu angielskiego. Żaden robotnik, farmer czy średni kupiec angielski nie wygrałby na wyprawie Hitlera na Rosję. Ale City wygrałaby. A Chamberlain jest z City i Chamberlain ma władzę. Biada narodowi angielskiemu.

We Francji sprawę zaostrzyła walka robotników francuskich o znośną egzystencję przeciwko francuskiej „City". Reformy frontu ludowego przeraziły Schneiderów-Creusot. Wróg wewnętrzny przesłonił im wroga zewnętrznego. Po upadku Francji Schneider-Creusot ocalał. Hitler zostawił mu jego zakłady i dodał niemiecką obronę przeciwko francuskim robotnikom.

Ten przykład jest pouczający dla poznania dalszego stadium „monachijskiego". Czystej krwi monachijczyk — polityk Daladier jest internowany. Ale jego baza społeczna znakomicie znosi okupację.

To samo mieliśmy w Polsce. Jak omówiłem w poprzednim artykule („Odrodzenie", nr 22), bazą naszych monachijczyków w pierwszym rzędzie byli obszarnicy, dla których jedyny ratunek dla Polski: pomoc Rosji, był nie do przyjęcia ze względu na widmo reformy rolnej. I Becka internowano, a obszarnicy w generalnej gubernii jako klasa społeczna przeżyli lata wojenne czasem nawet lepiej niż za Polski przedwrześniowej.

Pomijając wypadki pospolitej zdrady polityków — musimy stwierdzić u wszystkich monachijczyków zdumiewającą ślepotę polityczną, graniczącą po prostu z głupotą. I Daladier, i Chamberlain, i Beck przeżyli straszliwą katastrofę swojej polityki, katastrofę bynajmniej nie przypadkową, ani niespodziewaną. I w Anglii, i we Francji, i w Polsce przez cały czas polityki monachijskiej byli tacy, co ich ostrzegali, co z proroczą niemal dokładnością przepowiadali dalszy ciąg i skutki tej polityki.

Mężowie stanu, związani z przeżytymi warstwami społecznymi, stają się swoistymi daltonistami politycznymi. Nie rozróżniają kolorów. Nie widzą czerwonych świateł ostrzegawczych. Uparcie wiodą swoje państwa, gdzie się im marzy interes dla swojej sfery (a ich sfera — to dla nich cały naród), a gdzie naprawdę otwiera się przed narodem przepaść.

Biada narodom, którymi kieruje pan z City, albo pan ze sfer nieświesko-łańcuckich.

II. HESSJADA

Tak więc wielka omyłka monachijczyków polegała na tym, że Hitler, wbrew ich przypuszczeniom, opartym zapewne na jakichś danych, a nie tylko pobożnych życzeniach — nie uderzył na Wschód, tylko właśnie na Zachód. Dlaczego?

Aby odpowiedzieć na to, musimy zejść z wyżyn czystej polityki do dziedziny bardziej rzeczowej. Musimy się zainteresować paru szczegółami organizacji i stanu armii dwóch bezpośrednich sąsiadów Hitlera, z natury rzeczy predestynowanych, zdawałoby się, do odegrania roli stróżów bezpieczeństwa europejskiego po prawej i lewej ręce niemieckiego furiata.

O naszej armii przed wrześniem wiemy już dosyć dużo. Wiemy, że nasza dywizja piechoty liczyła prawie trzy razy mniej dział niż niemiecka, a ciężkich dział nie posiadała wcale. Że nie mieliśmy ani jednej wielkiej jednostki pancernej. Że mieliśmy 377 samolotów, z tego zaś blisko połowę stanowiły samoloty łącznikowe i rozpoznawcze. Armia nasza nie była zupełnie przygotowana do wojny z Niemcami, o wiele mniej niż czechosłowacka. Dopiero po marcowych pretensjach Hitlera sztab zaczął opracowywać plany operacyjne na wypadek wojny na Zachodzie. Uderzenie niemieckie i jego nowalie taktyczne całkowicie zaskoczyły nasze dowództwo.

Czy rzeczywiście te metody wojenne, których użyli Niemcy, były tak rewelacyjne?

Nic podobnego. Ani jednej istotnej niespodzianki nie było, a przynajmniej nie powinno było być. Czołgi? A od czegóż była kampania hiszpańska? Ofensywa w Katalonii, rozegrana w styczniu—lutym tegoż roku, była najświeższym memento roli, którą odegrają czołgi, — ale nie brakło bynajmniej innych wcześniejszych przykładów. Samoloty? Zanim spalono nam Siedlce, Mławę, Wyszków, Garwolin — te same samoloty zniszczyły Guernikę. Desanty spadochronowe? Ależ Niemcy sami najwięcej tę broń reklamowali przez całe lata.

Nie było żadnej istotnej niespodzianki. Może zaskoczyła skala zastosowania tych chwytów taktycznych.

Co ciekawsze, nasz wywiad dostarczył względnie dokładnych danych o koncentracji sił niemieckich i przypuszczalnych kierunkach uderzeń. Dane te potwierdziły się we wrześniu.

Ale plany Rydza-Śmigłego nie tylko nie uwzględniały tych danych, lecz nawet obliczone były jakby naumyślnie na to, by zamierzeniom niemieckim pójść na rękę. Rola armii Poznań, jednej z najsilniejszych, jest pod tym względem typowa. Została ona wy-

sunięta głęboko na zachód, akurat między dwa koncentryczne uderzenia niemieckie, które musiały ją odciąć, izolować i zmiażdżyć.

Błędy ówczesnego Naczelnego Dowództwa, niezależnie od fatalnej polityki wewnętrznej i zwłaszcza zagranicznej, skazującej nas na walkę sam na sam z silniejszym nieprzyjacielem — spowodowały, że nasza armia, mimo męstwa żołnierza, przegrała tak szybko i tak boleśnie.

Jest to temat, który należy omówić jak najszerzej. Ale teraz nas interesuje co innego: Francja.

We Francji było nie lepiej niż w Polsce.

Francuzi mieli ledwo ok. 1000 średnich i ciężkich czołgów. Były one, jak i w Polsce, porozrzucane batalionami między dywizje piechoty. Nawet w stosunku do niemowlęcego okresu taktyki broni pancernej — był to olbrzymi krok wstecz. W lipcowej ofensywie Focha w r. 1918 brało udział paręset zmasowanych czołgów.

Samolotów Francuzi mieli także ledwo ok. tysiąca, przeważnie przestarzałych „Potezów".

A przecież Francja miała już nie tylko Hiszpanię poza sobą, miała także Polskę. Osiem miesięcy „drôle de guerre" nie starczyło jednak dowództwu francuskiemu nawet na ukończenie mobilizacji. W maju 1940 roku granic Francji broniło ledwo 60 dywizji, więc blisko dwa razy mniej, niż po 8 miesiącach poprzedniej wielkiej wojny.

Linia Maginot sama przez się jest tematem do obszernego studium. Ten symbol tępoty i zasklepienia się francuskiej myśli wojennej w formach wojny pozycyjnej, przezwyciężonych przecież jeszcze w 1918 roku — kosztował Francję w maju—czerwcu 1940 roku blisko połowę jej dywizyj, zamkniętych tam i straconych dla rozstrzygającej bitwy.

Te skąpe dane stanowią odpowiedź na pytanie, dlaczego Niemcy napadli po wrześniu nie na Wschód, lecz na Zachód.

Oczywiście — nie szacunek dla traktatu z sierpnia 1939 roku. I również — nie odrzucenie przez Zachód propozycyj pokojowych Hitlera po rozbiciu Polski. Zawarcie pokoju na Zachodzie po wrześniu w niczym by sytuacji nie zmieniło. „Drôle de guerre" wiązała niemal tyleż sił niemieckich, ileby wiązała zwykła, pokojowa granica zachodnia w wypadku wojny na Wschodzie.

Różnica zdań między monachijczykami i Hitlerem dotyczyła nie samej wyprawy na Wschód, ale roli, w której idąc na Wschód Hitler miał występować i czasu tej wyprawy.

Wyprawa na Wschód stanowiła nieodłączny, fatalny etap w planach Hitlera podboju świata. Rosja była zbyt potężnym organizmem Europy i świata, by mógł ją ominąć. Dopóki stała wzdłuż jego wschodniej granicy, nie miał wolnych rąk. W maju—czerwcu 1940 roku na wschodniej granicy Hitler trzymał z pewnością blisko tyleż wojsk, ile rzucił na Zachód.

Ale Hitler zbyt już porósł w pierze, zbyt zasmakował w zwycięstwach, zbyt wyraziście ujrzał wizję germańskiego władztwa nad światem, by iść na wschód w roli, którą mu podsuwali monachijczycy. Jego rola od okresu obrony niemieckiego przemysłu i zagranicznych inwestycyj przed niemieckimi robotnikami zmieniła się już zasadniczo. Stał się elementem polityki światowej.

Jakto, iść na Wschód, angażować w długiej, niepewnej kampanii przytłaczającą większość swoich sił, podczas, gdy na Zachodzie zostaną nietknięte dwa państwa, które dziś są niemal bezbronne, ale w międzyczasie zmobilizują swoje potężne rezerwy i później gotowe będą mu dyktować takie lub owakie warunki?

A po co ma to robić? W imię czego ma się oddawać w ręce panów z City i z dwustu rodzin francuskich, jeśli ci są na tyle naiwni, niezaradni i przepełnieni sympatiami dla niego, że nie potrafią nawet zebrać godnej szacunku siły zbrojnej?

Czyż nie lepiej uderzać na Wschód nie w roli „żandarma Europy", lecz jej suwerena?

W pierwszym wypadku — po linii życzeń monachijczyków — miałby tyle rudy łotaryńskiej i brytyjsko-holenderskiego kauczuku i nafty, ileby mu zechcieli dać. W drugim — tyle, ileby zechciał.

Uderzając na Zachód przed Wschodem nie osłabiał swojej armii, lecz ją potęgował. Miał zbyt wielu płatnych agentów i ideowych przyjaciół wśród cagoulardów, aż do najwyższej generalicji francuskiej włącznie, aby z całą pewnością nie wiedzieć, że kampania na Zachodzie będzie szybka, łatwa i dla niego prawie bezkrwawa. A sprzęt zdobyty we Francji, z lichwą zrównoważy straty, jakie ewentualnie poniesie.

Chyba nie trzeba dalszych dowodów. Przytoczone powyżej są jasne i nieodparte. Zrozumie je dziecko. Ale nie potrafili ich zrozumieć najwybitniejsi mężowie stanu Anglii i Francji.

Ta fatalna omyłka Chamberlaina i S-ki sprawiła, że pewnego pięknego poranka w maju 1940, Anglia obudziła się i stwierdziła, że: nie ma ani jednej zdolnej do boju dywizji, ani jednej jednostki pancernej, co gorsza, ani jednego poważnego sojusznika na lądzie stałym. Że na skałach Gris-Nez stoją panowie w feldgrau i z zainteresowaniem obserwują przez lunety mętne wybrzeże pod Dover, że samoloty z niemiłymi czarnymi krzyżami dokonują ewolucyj pod świętym niebem angielskim i starają się przyjrzeć z bliska mglistemu Albionowi.

Wtedy i dopiero wtedy „idea" monachijska została schowana do lamusa nie tylko przez lud angielski, który jej nigdy nie cierpiał, ale wreszcie i przez najoporniejsze łby (bo nie głowy) popierającej ją dotąd partii konserwatywnej.

Rok, który upłynął od tego dnia sprawił, że obaj bohaterowie tego fatalnego dla ludzkości qui pro-quo zamienili się rolami. Strona oszukująca stała się oszukaną.

Od upadku Chamberlaina do wyprawy Hessa — ten okres drugiej wojny światowej obfitował w momenty dramatyczne i brzemienne w skutki. Tak, jak Chamberlain, aż do przedednia swej śmierci nie rozumiał, nie chciał zrozumieć, bronił się całą mocą swej niebujnej wyobraźni przed bezlitosną prawdą, obalającą wszystkie „głębie" jego „idei" monachijskiej, tak Hitler wysyłając Hessa, nie rozumiał zmian, które w międzyczasie dokonały się w rządzie angielskim, co ważniejsza — w ludzie angielskim, co najważniejsza — w układzie sił światowych.

Były, coprawda, okoliczności, które ułatwiały mu popełnienie błędu. Wprawdzie Chamberlain nie żył, a Halifax, prawa ręka tamtego, nie był ministrem spraw zagranicznych, ale tenże Halifax nie poszedł, jak zasługiwał na zieloną trawkę, ale został ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Klika z Cliveden po dawnemu urabiała opinię kół rządzących i nikt jej, jak należy, nie poskromił. I, jakby się zdawało, ogólny schemat polityczny pozostał ten sam: Anglia na Zachodzie patrzy, jak Hitler rusza w stepy rosyjskie. Przecież o tym tylko marzył Chamberlain. No, trudno, nie dotrzymało się terminu. Ale teraz już z całą pewnością...

Hitler miał jeszcze jeden argument, na który liczył najbardziej: wzrósł na sile niebywale. Wydawało się to mu wielkim atutem. Propozycyj suwerena Europy nie traktuje się tak, jak prowodyra jakichś bojówek czy nawet szefa jednego, choćby potężnego mocarstwa. Z suwerenem Europy trzeba się liczyć. Sojusz z nim powinien być zaszczytem — i dobrym interesem.

Ale właśnie ten argument zaważył chyba najbardziej w niepowodzeniu misji Hessa.

W ciągu roku było jedno znamienne posunięcie Hitlera. Było to bombardowanie miast angielskich. Za mało jeszcze wiemy o tej wojnie, by wyrokować, czy był to nieudany wstęp do zdobycia wysp brytyjskich, czy też akcja sama w sobie. Niewątpliwie jednak conajmniej jednym z jej celów było wykazanie namacalne Anglikom, jak potężnym i bezwzględnym potrafi być Hitler, jeśli nie żyje się z nim w zgodzie.

Ale to właśnie dla Anglików było najbardziej przekonywającym argumentem przeciwko zgodzie z Hitlerem. Nie tylko dlatego, że poznali po raz pierwszy od czasów Wilhelma Zdobywcy, więc od ładnych 800 lat, jak smakuje wojna na własnej ziemi i że poczuli w duszach, jak się rodzi i smakuje nienawiść do burzyciela ich domów i mordercy ich dzieci.

W pierwszym rzędzie dlatego, że poznali aż nadto dobrze, jak potężny jest Hitler. Że zgoda z taką potęgą oznacza wobec niej uległość.

Wyprawa na Rosję Hitlera — w razie jego zwycięstwa oznaczała jego niezwyciężoność. Tylko nasi politycy do spraw niepoważnych potrafili ciskać kłody pod nogi Sikorskiemu, gdy ten w jedynie możliwy dla Polski sposób zareagował na napaść Hitlera na Rosję. W Anglii nawet Chamberlain zrozumiałby wreszcie sens wydarzeń. Churchillowi przyszło to tym łatwiej, że od lat zwalczał ostro linię monachijską.

Hitler, jako zwycięzca Rosji, nie potrzebowałby się wysilać, sam ciężar gatunkowy jego imperium rzuciłby mu do nóg i bliski Wschód i Persję i — zgrozo! — Indie. Cóż znaczyły jego zapewnienia, że nie rości sobie pretensyj do imperium brytyjskiego? Tyle, co zapewnienia o przyjaźni dla Polski i Francji, a nawet jeszcze mniej, bo wtedy był dziecinnie słaby w porównaniu do stanu po ewentualnym zwycięstwie nad Rosją.

Rosja była jedynym ratunkiem.

Trzeba było być szaleńcem, by liczyć choćby na cień nadziei w powodzenie wyprawy Hessa. Mamy podstawy, zwłaszcza dzisiaj, by stwierdzić, że Hitler był właśnie szaleńcem.

A zresztą zaszedł już zbyt daleko, by móc się wycofać. Mosty były spalone. Inercja wydarzeń była nieodparta. Mógłby jeszcze próbować inwazji na wyspy brytyjskie. Ale nawet powodzenie radykalnie sytuacji nie zmieniłoby: za oceanem Wuj Sam budził się z izolacjonistycznej drzemki i na dorocznych manewrach trzystutysięcznej armii stotrzydziestomilionowego państwa część czołgów była już nie z dykty, lecz ze stali. Wyspy brytyjskie stawały się wysuniętym naprzód lotniskowcem Imperium brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych. Zatopienie tego lotniskowca utrudniłoby wojnę tym państwom, ale nie uczyniłoby jej niemożliwą. Za to z pewnością przekreśliłoby wszelkie marzenia o jakimkolwiek zawieszeniu broni na Zachodzie.

Hess poleciał. Trzydzieści następnych nocy drogo musiały kosztować nerwy Hitlera. Czy będzie jakaś odpowiedź?

Ten błąd, nieuniknjony jak w klasycznej tragedii, był rewanżem za klapę monachijczyków.

Napad na Rosję i reakcja na to Churchilla zamyka w gruncie rzeczy rolę wielkiej polityki w tej wojnie. Układ sił politycznych, który się wytworzył w końcu czerwca 1941 r., nie zmienił się zasadniczo aż do końca wojny. Przybyła jeszcze potęga Stanów Zjednoczonych, uszczuplona wojną na Oceanie Spokojnym, przybyły inne państwa Ameryki. Ale to były tylko zmiany ilościowe.

Hitler nie zrezygnował zresztą z ogrywania wątku hessowskiego w ciągu dalszych lat czterech, aż do samej agonii. Był tym i Katyń i dziesiątki innych akcyj, obliczonych na ożywienie Monachium i sparaliżowanie Zachodu. Niechlubnie w tej robocie zapisał się nasz „rząd" londyński, najsilniejszy rezerwat monachijskiej mentalności. Ale mimo okresowych oziębień między Zachodem i Wschodem, Monachium już nie odżyło. Churchill, przemawiając 22 czerwca 1941 roku, odpowiedział nareszcie Hitlerowi na Hessa.

Ciężar zagadnienia przesunął się teraz z płaszczyzny politycznej na wojskową.

Czy Rosja wytrzyma? Jeśli tak — Anglia i narody podbite, a i Ameryka także są uratowane: tak sprawa stała dla ludzkości.

Czy pobiję Rosję? Jeśli tak — to gwiżdżę na Anglię i na resztę świata. Wtedy żaden Hess nie jest już mi potrzebny: tak rozumował Hitler.

III. ZAGADKA ROSYJSKA

Patrzyliśmy dotąd na wojnę z punktu widzenia dwóch wielkich elementów polityki europejskiej: Anglii i Niemiec. Ale Europa miała także trzeci element. I o wadze jego świadczy, że dwóch zdań Anglia nie mogła zamienić z Niemcami, nie wspominając o nim.

Tak się stało, że interesy Trzeciej Rzeszy okazały się w prostej sprzeczności z interesami conajmniej Europy, a nawet całej ludzkości. Tak się też stało, że w okresie przedwojennym i w samej wojnie interesy Europy i Rosji okazały się zdumiewająco zbieżne.

„Idea" monachijska była wymierzona bezpośrednio w Rosję i w interpretacji Chamberlaina i Hitlera. Obaj ci godni kontrahenci z zapałem ją realizowali. I cóż się okazało? Dla wyruszenia przeciwko Rosji Hitler wymógł na monachijczykach obalenie klauzul traktatu wersalskiego, zagrabił Austrię i Czechosłowację, bez czynnego oporu z ich strony podbił Polskę, później zaś, już wbrew ich woli, okupował Danię, Norwegię, Belgię, Holandię, Francję, Jugosławię, Grecję, przeniknął do Węgier, Rumunii, Bułgarii.

Czy to nie była „idea" monachijska, doprowadzona do doskonałości? Niewątpliwie. Takie były jej konsekwencje, może nie dość jasno uświadamiane przez Chamberlaina, ale niemniej, aż nadto logiczne.

Rosja zdawała sobie sprawę ze skutków tej „idei" jeszcze, gdy Monachium było w powijakach. W ogóle dyplomacja rosyjska okazała się w tej wojnie i jeszcze przed nią najlepszą: nie popełniła ani jednego błędu zasadniczego. Jeśli się nie udało jej sparaliżować Monachium i przez to wojnę uniemożliwić — to wina tego spada całkowicie i wyłącznie na barki zachodnich monachijczyków.

Nasi domorośli politycy bardzo psioczyli na Rosję z powodu układu jej z Niemcami w sierpniu 1939 r. Ale nie chcą oni widzieć, że stało się to po klęsce Ligi Narodów (w której tyle zaważył nasz Beck), po oddaniu Czech, wreszcie po haniebnych pertraktacjach letnich anglo-francusko-sowieckich w Moskwie.

Rosja czyniła co mogła, by przeszkodzić Monachium — i, chociaż jej własny interes wymagał tego przede wszystkim — czyniła to zarazem w interesie wszystkich krajów Europy, nie wyłączając Anglii.

Gdy wszystko to zawiodło, gdy wzrok monachijczyków okazał się porażony daltonizmem i ślepotą, Rosji nie pozostało nic innego jak pozwolić, by inne zmysły czcigodnych panów Chamberlainów i Ski, z dotykiem na czele, przekonały się o skutkach ich „idei".

W sierpniu 1939 roku trzy wielkie elementy europejskie znajdowały się w punktach zwrotnych swoich kursów politycznych.

Anglia i Francja, ciągle opętane Monachium, pragnęły nawet kosztem Polski wypuścić Hitlera na wschód, nie angażując się zbytnio w ewentualną wojnę.

Niemcy chciały iść na Wschód, ale nie w roli agenta, tylko pana. W pierwszym rzędzie wolały pobić słabszego: więc Zachód.

Rosja wiedziała, że wojna z Niemcami jest nieunikniona. Pertraktacje w Moskwie przekonały ją, że na Zachód nie ma co liczyć. Wolała więc zaczekać, aż Zachód przekona się na własnej skórze, czym pachnie Monachium i przez to stanie się sojusznikiem, a nie w najlepszym razie symulantem, jakim się okazał i we wrześniu i podczas „drôle de guerre".

Bieg wypadków dowiódł, że krok ten w ostatecznym rachunku był słuszny i zbawienny nie tylko dla Rosji. Rozwiązanie, lansowane przez monachijczyków przedłużyłoby wojnę o całe lata, w razie zaś powodzenia Hitlera w Rosji (a szanse jego wówczas by wzrosły) oznaczałoby podbój Europy, Eurazji, Afryki.

W czerwcu 1941, jak dowiedliśmy, Zachód przeszedł już nadspodziewanie krwawy kurs dokształcający o Monachium i sytuacja się radykalnie zmieniła. Na najbliższe trzy lata (aż do ostatecznego dozbrojenia Anglii i Ameryki) sprawa bytu i niebytu ludzkości sprowadziła się do Rosji: czy jej ustrój okaże się trwały, czy wytrzyma jej przemysł, zwłaszcza zaś — czy wytrzyma jej armia.

Hitler wiedział, że to przeciwnik poważny. Dlatego właśnie zaplanował uderzenie nań na okres, w którym dojdzie sam do apogeum siły. Ale w ocenie oporu rosyjskiego popełnił omyłkę największą, śmiertelną dla siebie, zbawienną dla ludzkości.

Słyszeliśmy w 42 i 43 r. różne zwierzenia publiczne szefów hitlerowskich, m. in. Goeringa o niedocenieniu Rosji Radzieckiej jako przeciwnika. Czy były te żale usprawiedliwione? Czy rzeczywiście Rosjanie sprytnie zamaskowali siłę swojej armii, jej uzbrojenie, swój własny przemysł wojenny?

Znając prasę rosyjską z czasu przedwojennego można stwierdzić coś wręcz przeciwnego. Cała prasa zapełniona była opisami mistrzostwa żołnierza rosyjskiego, potęgi jego uzbrojenia, zwartości ustroju politycznego. Nawet szczegóły taktyczne były reklamowane — np. spadochroniarze. Na dorocznych manewrach asystowali wszyscy attachés wojskowi świata i mogli naocznie przekonać się, że to nie była blaga. Wycieczki turystów zagranicznych zwiedzały fabryki, szkoły, sanatoria.

Wszystko, co silne w Rosji i o czym przekonała nas wojna — było znane, a przynajmniej powinno było być znane i przed wojną.

A jednak hitlerowcy się przeliczyli.

*

Od lipca 1941 do listopada 1942 trwał okres, w którym decydowały się losy wojny. Najstraszniejsze były pierwsze pięć miesięcy. Chociaż pod Stalingradem i Groźnym Niemcy zaszli najdalej na wschód, ludzkość już wtedy miała oparcie dla swojej nadziei nie w rachunkach, ale w faktach: było już po „cudzie pod Moskwą".

Jeśli tę wielką wojnę można bez trudu włożyć w ramy przepisów klasycznej tragedii, to ten właśnie okres, kulminacyjny — nie miał w sobie takiej predestynacji, jak pierwszy akt — rozwiązywanie wojny przez monachijczyków, jak drugi — rachuby pokładane w Hessie. Wcale nie było założone z góry, że Rosja wytrzyma.

Uderzenie niemieckie, chociaż nieuniknione w ogóle, zaskoczyło Rosję taktycznie. Klęski pierwszego okresu były niezwykle dotkliwe. Jej aparat gospodarczy w końcu 1941 roku przeżywał ciężki kryzys. Armia poniosła takie straty (zwłaszcza w czołgach), których żadna inna armia nie wytrzymałaby.

Decydowały się losy Europy. Nigdy już tak blisko nie był Hitler swojej obłędnej wizji zwycięstwa. Nigdy ludzkość nie była tak bliska zguby.

„Cud pod Moskwą" przepowiedział rozwiązanie zagadki rosyjskiej, Stalingrad ją rozwiązał, Europa była uratowana.

Od Stalingradu wojna potoczyła się ustalonym kursem — prosto ku katastrofie Niemiec. Była ciężka, wymagała niezwykłych ofiar, zwłaszcza od Rosji, ale jej wynik był już wiadomy.

Były jeszcze próby Niemiec odwrócenia losu — na polu: złamana w zarodku ofensywa letnia 1943 r. na Kursk, niebezpieczniejsze, polityczne — prowokacja katyńska i pomniejsze próby nawrotu do Monachium, w których tak walnie wspierał Niemców nasz „rząd" londyński. Ale lekcja monachijska była już do reszty przepracowana przez Zachód. Prowokacje niemieckie były niezgrabnymi próbami umknięcia przed miażdżącym wyrokiem historii.

*

W największym skrócie, nieuniknienie upraszczającym skomplikowane fakty — tak wygląda mechanizm drugiej wielkiej wojny. Nazwałem go tragedią pomyłek. Niewątpliwie była w tym tragedia zaślepienia monachijczyków, którzy wywołali wojnę, nie myśląc, że w nich uderzy również. Niewątpliwie była w tym tragedia Hitlera, który wkroczył na drogę wojny, zachęcany przez monachijczyków, a potem musiał stoczyć się do katastrofy.

Ale te dwie tragedie są w cudzysłowach. Tragiczny jest człowiek wielki. Ani Chamberlain ani Hitler wielkimi nie byli. Bohater tragiczny budzi w widzach sympatię i współczucie. Ani Chamberlain ani Hitler współczucia najlżejszego wzbudzić nie mogą. Jeden przez swoją zbrodniczą ślepotę, drugi przez aż ślepą zbrodniczość.

Bohaterem tej tragedii, rzecz prosta, nie jest ani ten ani tamten. Bohaterem jest ludzkość, jest zwłaszcza Europa. Najstraszniejsze w tej wojnie, że nie była ona nieunikniona, że jej nadejście i jej okropność były dokładnie przepowiadane. Drogi ratunku były instynktownie odczuwane przez narody, były uparcie głoszone przez trzeźwych polityków, których w żadnym narodzie nie brakło, były wreszcie lansowane przez państwa, w których naród jest najbardziej bezpośrednio z rządem związany — więc np. przez Rosję. Nie wystarczyło tego, by wojny uniknąć.

Ubożsi w dziesiątki milionów ludzi, w setki najpiękniejszych miast, w pięć i pół lat ludzkiego życia mamy, jakże żałosną, naukę: rządzić narodami mogą tylko ci, co nie utracili z nimi więzi myśli i uczuć, więzi wspólnoty interesów, ci, co wyszli z podstawowych warstw narodu, a raczej nawet — nie wyszli — ci, co są w narodzie i idą z nim razem. Tacy nie chorują na ślepotę monachijską.

Niewspółmiernie mała jest ta nauka wobec kosztów jej zdobycia. Ale nauczmy się przynajmniej tego. Wśród nas jest wielu jeszcze takich, którzy i tego nie rozumieją.

Wincenty Bednarczuk

HELENA BOGUSZEWSKA

Danusia Dzierlacka

— A kto dał pani mój adres?

Z kąta pokoju pani Dzierlacka, pochylona nad beczką, z której przekładała kapustę do mojego garnka, nie odwracając się spytała tak, powoli i niegłośno. Było w jej pytaniu coś, co mnie zastanowiło.

Stojąc w środku, trochę zziębła i zmoknięta, z koszykiem pełnym paczek i z długim chlebem, sterczącym z siatkowej torby, posłusznie usiłowałam sobie przypomnieć: w sklepiku u Jaśkowskiej? Czy u Wojcieszkiewicza?

— Ach już wiem! To tam u Malinowskich, gdzie brałam mąkę! Mówili, że pani ma dobrą kapustę, że pani ukisiła całą beczkę, żeby mieć do sklepu, ale Niemcy zabrali pani wspólniczkę... A może Jagodziński?

Pani Dzierlacka przez chwilę milczała, nie odwracając się. Dziewczynka przy oknie milczała również i nie patrzała na mnie. Było mi trochę tak, jakbym powiedziała coś niepotrzebnego. Deszcz lał po szybach. Było nieprzyjemnie.

Pani Dzierlacka wyprostowała się wreszcie i odwróciła ku mnie bladą twarz pod roztarganym czubem bardzo ciemnych, prawie czarnych włosów. Powiedziała z rozmysłem i z godnością:

— Niemcy wcale nie zabrali mojej wspólniczki. Sama się rozchorowała.

Poczułam, że kłamie. — I po co kłamie? — pomyślałam niechętnie. Szła teraz ku mnie z garnkiem pełnym kapusty, wysoka i chuda, i dopiero teraz z bliska, zobaczyłam, jak ta blada twarz jest wymizerowana i umęczona. Moja niechęć znikła. Owszem, wydała mi się sympatyczna z tymi za jasnymi, jakby wyblakłymi z płaczu oczami, w czarnych rzęsach. Ze zdziwieniem zauważyłam szybkie spojrzenie tych oczu w stronę okna, ku tej małej, w milczeniu tkwiącej przy stoliku. W dość obszernym ale ponurym pokoju był tylko ten stolik pod oknem, stołek, jedno krzesełko, przy ścianie łóżko, w kącie beczka, trochę jakichś nieokreślonych rzeczy, tobołów. Było nieprzytulnie.

Deszcz to zacinał, to się wzmagał. Niepodobna w tej chwili wyjść.

— Widocznie w takim małym mieście, to ludzie muszą wszystko jeden o drugim wiedzieć. Muszą gadać... Przecież właściwie my tu nikogo jeszcze nie znamy... — zaczęła znowu pani Dzierlacka pojednawczo.

Rzuciwszy okiem na ociekające deszczem szyby, skwapliwie podjęłam rozmowę. Okazało się, że pani Dzierlacka wszystko co miała, wpakowała w tę beczkę kapusty i w wagi do niedoszłego sklepiku. Okazało się, że jest tak jak my, z Warszawy. Okazało się, że przyjechała tu niedawno i ledwie zdołała u Jagodzińskiego za drogie pieniądze wynająć ten pokój, w którym już teraz jest zimno, a cóż dopiero będzie w zimie.

— A pani daleko stąd mieszka? — spytała nagle, zainteresowawszy się moją osobą. Dotąd mówiła tylko o sobie.

— Na letnisku. Godzina drogi stąd — odpowiedziałam i westchnęłam mimo woli. Jak tu iść: deszcz, błoto i jakby już szarzało od przedwczesnego pozornego zmierzchu.

— To będzie w stronę Buga? — ożywiła się nagle pani Dzierlacka.

— W stronę Bugu?... Tak. Ale do Bugu jeszcze daleko. Będzie cztery, pięć kilometrów — odpowiadam powoli, rozważając jednocześnie czy iść zaraz, czy przeczekać ten najgorszy deszcz. Nie. Jednak lepiej przeczekać. Ale czy przejdzie?

— To tamtędy chodzą do Rzeszy po towar, za szmuglem? — pani Dzierlacka ożywia się coraz bardziej. Dziewczynka spod okna zbliża się również, słuchając niespokojnie. Czuję, że tu chodzi im o coś ważnego. Odpowiadam, że parę kobiet z naszego sąsiedztwa chodzi za Bug. Mężczyźni też. Przynoszą kaszę, mąkę, olej. Czasami masło. Dobrze zarabiają.

— A pani była tam kiedyś? — Dziewczynka ma cienki głos, o brzmieniu, jak u małego dziecka, ale oczy patrzą poważnie, dorośle, prawie przenikliwie, jasne, za jasne w czarnych rzęsach, tak jak u matki. — Pani widziała jak tam jest?

— Byłam, widziałam... Cóż, mój handel niestety polegał tylko na sprzedawaniu własnych rzeczy... ale widziałam...

Stoimy teraz wszystkie trzy w środku tego prawie pustego pokoju, o kątach zaciągających się już jakby szarością zmierzchu. Deszcz nacicha, prawie ustaje. Można by już iść. Trzeba iść...

Ale w tych wpatrzonych we mnie oczach jest coś takiego, że muszę mówić o magicznych „rajzach" za Bug; mnie samą wciąga już opowiadanie o tym strasznym Bugu: tak, tak, jest szeroki, jest rozlany wśród wierzb. Tuż za wsią Opole domy ciągną się wzdłuż jedynej piaszczystej drogi, nie dużo ich jest, ledwie kilka, a za domami rozmiękłe pola, wierzby, i zaraz tuż, niedaleko Bug. Z okna widzi się jak chodzą „pograniczaki"... Jest jeden taki najgorszy, nazywają go Westfal, ogromny, rudy, z psem... Ja miałam tylko trochę własnych łachów, sprzedawałam tylko w Opolu, a jednak ostrzegano mnie, żeby iść cicho brzegiem zagajnika... A cóż dopiero ci, co naprawdę handlują i taszczą wory na plecach — tu mimo woli spojrzałam na wąskie ramiona pani Dzierlackiej, — nie nadają się chyba do dźwigania...

— Dużo szmuglarzy ginie? — niecierpliwie, prawie natarczywie dopytuje głos małego dziecka, a oczy patrzą dorośle, prawie groźnie, — duży procent ginie od kul „pograniczaków"?

Tak powiedziała głosem dziecka: — Duży procent ginie? Zaskoczona, zastanawiam się przez chwilę. Widzę, że pani Dzierlacka robi jakiś nieokreślony, jakiś ostrzegawczy ruch ręką. Jakby się przed czymś broniła. Odpowiadam powoli.

— No tak, giną. Ale trudno mi powiedzieć jaki procent. Cichockiego zabili teraz niedawno. Jagusiak zginął... Cóż, głód zmusza ludzi do wszystkiego. Czyżby się pani też wybierała za Bug, pani Dzierlacka?

Tu się dopiero zaczęło, tu się rozpętało, na całego! Deszcz już zupełnie ustał, kałuża za oknem z burej staje się niebieska, robi się późno, a ja zamiast iść, stoję tu wpatrzona, wciągnięta w jakieś cudze sprawy. Już nawet niezupełnie cudze, już nawet jakby trochę bliskie...

—Bo czy to ona da mi pójść za Bug? — z najwyższym wzburzeniem prawie krzyczy do mnie pani Dzierlacka, — czy to ona jest jak inne dzieci? Z czego mamy żyć, z tej kapusty? Wyprzedajemy ostatni łach, ona wygląda jak cień, przecież widzi pani, jak ona wygląda! Ją tylko jedną mam... Przecież ona nie przetrzyma wojny!

I z nagłą złością: — Ona chce rządzić!

Na to od stołu, z takim samym wzburzeniem, z taką samą złością, że co sobie matka myśli? Że co po łachach, po jedzeniu, co po wszystkim, jeśli matkę zabiją Niemcy?

Stoją naprzeciwko siebie, podobne jak dwie krople wody, jedna, mała, druga duża, prawie dygocące ze złości.

Jeszcze z bladych, drobnych, gorzkich ust padają szybkie gwałtowne słowa, a już te za jasne oczy różowią się żalem, skore do płaczu. I czy mnie słuch nie myli? Bo co ta mała mówi? Że można zginąć dla sprawy, a nie można dla marnego jedzenia?

I tu jakby się spostrzegły, że nie są same, że ktoś obcy jest z nimi... Opanowały się w jednej chwili, ostygły, przygasły. Zrobiło mi się trochę przykro, że jestem tą obcą. Zaczęłam, że istotnie, że może by jakaś praca...

Pani Dzierlacka smutnie kiwa głową: próbowała już tego i owego. Teraz żadna praca nic nie daje, tylko handel, — czy to pani nie wie?

— Wiem, wiem — i ja z kolei smutnie kiwam głową. A pani Dzierlacka ze zgaszonej i smutnej robi się znowu inna. Światowa, grzeczna, krząta się koło mnie i szuka szmatki, żeby nią pokryć mój garnek z kapustą. Szuka papieru, żeby zabezpieczyć od zmoknięcia mój sterczący z siatki chleb na wypadek ponownego deszczu. Bo przecież muszę już w końcu zapłacić za kapustę i iść!

— Jakżeż panie... — mówię już prawie na wychodnem, — jakżeż córka jest do pani podobna!

Od razu pogodzone i rozpogodzone, jednako uśmiechnięte i w tym uśmiechu jeszcze do siebie podobniejsze, obejmują się jak siostry, obejmują się ruchem, jakby dawno już wypróbowanym. Mała obejmuje matkę w pasie, a matka małą za szyję. — Ją tylko jedną mam teraz na świecie i dlatego tak ją rozpieszczam.... Taka rozkapryszona...

— Rozkapryszona? — myślę — wszystko, tylko nie to. — Rozpieszczona?

Ale Danusia Dzierlacka istotnie spada nagle do roli rozpieszczonego dziecka. — Ja też mam tylko ją jedną na świecie, to mam pozwolić, żeby mi ją Niemcy złapali? — Dziecinny jej głos brzmi kapryśnie i prawie wesoło.

I tak je zostawiam: obejmując się jak siostry, grzecznie żegnają odchodzącego gościa. Tak je zachowałam w pamięci.

*

A raczej takimi przypomniałam je sobie, gdy po iluś tam dniach z koszykiem, siatką i garnkiem znowu pukałam do tych samych drugich drzwi na lewo, w domku Jagodzińskiego z gankiem o kolorowych szybach. Właściwie dopiero teraz zauważyłam te szybki, bo ogołocone już prawie ze swoich czerwonych liści dzikie wino zwieszało się nieledwie nagimi, węzłowatymi sznurami łodyg, gdzieniegdzie gronami małych czarnych jagód...

Tak, prawdziwa jesień już się zrobiła przez te dni, a ile rzeczy zdążyło się „nadziać", jak to czasów wojny. W wieloraki sposób spoglądały straszliwe niemieckie oczy spod hełmów i różne stopnie przerażenia podcinały nogi tym co szli wprost na walące chodnikami miast bandy esesowców. Za późno już, żeby się cofnąć. Wielorako też brzmiały kroki w ciężkich butach i szczękanie broni w ciemnych sionkach wiejskich domów. Z różnym napięciem rozpaczy patrzyły z okien wagonów twarze pojmanych w łapankach.

Różne też wieści przychodziły ze świata, raz dobre, raz złe. I zależnie od nich, zdawało się, że wojna już się niedługo skończy i zdawało się, że nie skończy się nigdy. I znów w zależności od tego, odbywając drogę z naszego zimnego letniego domku do miasta, tę drogę umianą na pamięć, a coraz to inną, zależnie od tych wieści, rozmaicie widziałam łagodnie przygaszoną zieleń ozimin w omglonym jesiennym słońcu, to znów oślepiającą żółtość liści przydrożnych brzóz na mocnym błękicie. I trzęsące się rumiane listki osiki nad przydrożnym rowem...

Rankami szkliły się już na dołkach małe lustra lodu o mozaikowych dnach z tych właśnie rumianych i żółtych liści. Z podmiejskich pól od dawna już ścięto ostatnią kapustę, — i kiszoną też już można było dostać w wielu sklepikach miasteczka, ale ja wiernie pukałam do domku Jagodzińskiego, w drugie drzwi na lewo. A zapukawszy, czekałam chwilę z tamtym obrazem w oczach. Zupełnie, jakby miały tak wiecznie stać, Dzierlackie matka i córka.

Nie, nie stały tak wiecznie. Danusia Dzierlacka otworzyła mi drzwi, chmurna, jeszcze chudsza i mizerniejsza niż przedtem. Ale poznała mnie od razu, uśmiechnęła się dziecinnie i ładnie, wzięła garnek z moich rąk, prosiła bym usiadła na tym ich jedynym krzesełku, które wytarła uprzednio niebieskim fartuchem.

A matki nie było. Aż dziwnie, bo tak nierozłączne były w moim wspomnieniu. Tym razem mała podeszła do beczki w kącie, jak matka grzebała w kapuście drewnianą łyżką, sama mało co wyższa od tej beczki. I jak matka nie odwracając się, przemówiła z nad beczki obojętnym głosem. Bez żadnego wstępu spytała, jak tam moje sąsiadki z letniska, czy chodzą za Bug? I o tego złego pograniczaka Westfala, i o starą Cichocką, co jej pograniczaki zabiły syna. I jak przedtem w głosie matki, tak teraz w jej głosie było coś, co mi kazało zastanowić się nad odpowiedzią.

— Chodzą... Nie... Nie zabili teraz nikogo, przynajmniej nie słyszałam... Czyżby mamusia... matka — poprawiłam się, przypominając jak ona mówi, — czyżby matka chodziła teraz z handlem za Bug?

Milczała chwilę, wciąż odwrócona do mnie plecami, zajęta tą kapustą, potem wyjaśniła krótko, że istotnie „matka postawiła jednak na swoim".

— Ale niech pani nie stara się mnie uspokoić, niech pani mówi prawdę, — dodała twardo i zgoła niedziecinnie. I zaraz zwróciła się do mnie, jakby zawstydzona, zmiękła, i znowu prosiła, żeby jej opowiedzieć, jak tam właściwie jest nad tym Bugiem. Więc znowu zaczynam to samo: szeroka, piaszczysta, rozjeżdżona droga, drewniane domy z gankami, wierzby, rozmiękłe pola, wierzby, rozlane wody, wierzby, Bug, pograniczaki...

Widzę wlepione w siebie te jej za jasne oczy, szerokim rozwarciem utrzymujące rzęsy w dwóch znieruchomiałych czarnych łukach, widzę maleńkie gorzkie usta, ściśnięte w grymasie napiętej uwagi, widzę małe, niesłychanie chude ręce, dorosłym gestem splecione na za dużym niebieskim fartuchu. Słyszę swój własny głos w tym ponurym i starym pokoju, z łóżkiem, beczką, stolikiem i stołkiem, głos mimo woli przewlekle opowiadający jakby bajkę o pograniczakach, szmuglarzach i o Bugu. I wychodzi tak, jakby w budkach siedziały pograniczaki o niewidzących oczach i niesłyszących uszach, zatopione w swoich sprawach, obojętne i tępe. Jakby nikt już nie brał ich na serio. Jakby ludzie z tobołami na plecach, swobodnie i wesoło chodzili tam i z powrotem zupełnie przez nikogo nie zaczepiani...

Mała Dzierlacka słucha, a w miarę jak słucha, twarz jej się uspokaja, odpręża i mięknie, robi się zupełnie dziecinna. Nie na długo, bo w pewnej chwili Danusia staje się znowu nieuważna, roztargniona, rzuca okiem na budzik, spogląda w okno i nagle z bezradną rozpaczą: — A jeśli nie wróci do szóstej, to co?

Aha, więc to tak jest z tobą, Danusiu Dzierlacka? Wiemy czego ci potrzeba. Trzeba się roześmiać z twoich głupich strachów, trzeba ci odpowiedzieć jak dziecku, że jak nie wróci o szóstej, to wróci o pół do siódmej albo o siódmej...

Danusia rozjaśnia się. Biega po pokoju, szuka papieru do owinięcia garnka, odbiera, przelicza pieniądze, wydaje resztę. Nagle poważnieje i znowu się zamyśla.

— A jeżeli... jeżeli będzie już ósma, a matki jeszcze... a matka wcale nie wróci? — pyta powoli, niegłośno, zacinając się i jąkając.

Teraz i ja poważnieję. — Słuchaj no Danusiu. Nie można tak mówić: a jeśli o szóstej, a jeśli o siódmej, a jeśli o ósmej. To nie ma sensu. Trzeba sobie powiedzieć: matka może wcale nie wróci dzisiaj, i to wcale nie będzie znaczyło, że... że stało się coś złego. Moja sąsiadka bardzo często wraca dopiero nazajutrz rano, albo i na trzeci dzień...

— Tak? — Danusia pije te słowa jak wodę życia. Wytrzeszcza na mnie oczy, otwiera usta jak małe dziecko. Przez chwilę milczymy obie. Słychać gadania za oknem, turkot wozu na ulicy. Zaczynam zbierać moje paczki.

— Pani idzie? — przeraża się Danusia — niech pani jeszcze nie idzie — prosi, błaga prawie.

Więc znowu bezradnie zasiadam na tym moim krzesełku. Robi się zupełnie cicho.

— Słuchaj, Danusiu, — zaczynam — czy ty zawsze tak.. czy ty zawsze wyrabiasz takie historie z tym czekaniem na matkę?

Nie od razu odpowiada. Patrzymy na siebie. Znika wielka mnogość lat, które nas dzielą. Zostaje tylko głęboka znajomość męki czekania, która nas łączy. Danusia jakby wstydliwie odwraca oczy.

— Zawsze, proszę pani. Bo jeszcze jest taka jedna rzecz... Pani jest inteligentna, pani pisze książki. To pani powinna rozumieć.

Jestem niemile zaskoczona. — Skąd ty wiesz, że ja piszę książki?

Danusia śmieje się prawie wesoło. — Pani myśli, że ja nic nie wiem? Przecież jak tatuś był jeszcze z nami, to my... — i nagle urywa. — Tu na tym letnisku pani może się nie bać, — zaczyna znowu pobłażliwie i jakby prawie z wyższością — my nieraz mówimy sobie z matką, że przecież tu nie ma gestapo, tylko ci głupi esesowcy. Oni są od kontyngentu, od kartofli, od świń, a nie od książek. Tylko do Warszawy pani powinna jak najmniej jeździć... — kończy z wielką znajomością rzeczy.

Milczę coraz bardziej zaskoczona, ale ona już wraca do swego, że jeżeli do zmierzchu czeka spokojnie, i je, i nie płacze, i nie boi się o matkę, to potem jest jeszcze gorzej, bo jej się zdaje, że matka wcale nie wróci. Właśnie dlatego, że ona nic się nie bała. Ale jak się tak porządnie wypłakać i nic nie jeść, i wymęczyć się czekaniem, to właśnie wtedy matka prędzej wróci...

Przerywam jej te teoretyczne wywody. — Słuchaj no Danusiu, ile ty właściwie masz lat?

— Jedenaście. A pani myślała, że siedem? Wszyscy myślą, że siedem. Ale ja się nie martwię, bo u nas w rodzinie każdy jest taki mały, a potem wyrasta wysoki, i matka mówi, że była taka mała, i wujek, i brat... — urywa nagle i wzdycha.

— Tak. To tak bywa — zaczynam, aby tylko coś powiedzieć, ale Danusia nie zwraca już na mnie uwagi. Nieruchomieje, z twarzą stężałą nagle w strasznym napięciu.

— Danusiu — ale ona macha na mnie ręką, nasłuchuje. Teraz już i ja słyszę. Słyszę szuranie nóg w sieni. Danusia z piskiem rzuca się do drzwi. Dzierlacka staje w progu, zgięta pod workiem, dysząca ze zmęczenia, ledwie żywa. Podchodzi do stołu, odwraca się plecami, żeby oprzeć na nim worek.

— Czekaj! Puść mnie, puść! — Rozwiązuje jakieś paski, rzemienie, i broni się od córki, bo Danusia dusi ją, nieprzytomna ze szczęścia. Wrzeszczy, piszczy.

Odchodzę, żeby im nie przeszkadzać. Przechodząc pod oknem, słyszę, że wrzaski radości przeszły już w wymówki. Że dlaczego tak długo nie wracała? Że po co w ogóle poszła?

A matka ze złością: czy Danusia zjadła, co miała przygotowane? Nie? Dlaczego nie zjadła? Żeby matce na złość zrobić?

Kłócą się coraz gwałtowniej, kłócą się straszliwie...

Jagodziński w długich butach i granatowym kaszkiecie ukazuje się na ganku. Przechodząc pod oknem kiwa do mnie porozumiewawczo: — One zawsze tak się kłócą, a jedna bez drugiej żyć nie może.

Omijając kałużę, idziemy razem w stronę rynku.

— Kapustę pani od nich bierze? — mówi Jagodziński i zaraz bez żadnego przejścia oznajmia, że Niemcy otoczyli dziś rano stację kolejki i zabrali 40 mężczyzn. I jeszcze, że w Warszawie są znowu straszne łapanki i że u Wojcieszkiewicza można kupić makaronu bez kartek.

Chcę go wypytać o tę kolejkę i łapankę, ale on już znika wśród wozów na rynku. Za to, w innym miejscu ulicy i błota, spotykam Budkową z pustymi blaszankami od mleka. Potwierdza o łapankach i o makaronie, dodaje jeszcze, że u Malinowskiej jest poślednia mąka po 18 złotych, i że podobno ma tu zjechać jakaś nowa żandarmeria, Schutzpolizei, czy jak tam...

— Schutzpolizei, a cóż oni będą tu robić?

— Ja wiem? — oczy Budkowej latają po przechodniach, po rozwierających się z brzękiem drzwiach sklepiku. Cała Budkowa rozpływa się w grupie ludzi przy jakiejś furze.

Idę sama. Miejska ulica zmienia się w drogę, zrazu roztłamszoną nogami, potem coraz twardszą, ze szklistą skorupą cienkiego lodu w koleinach. — Co oni będą tu robić?... — Krople wody na cienkich gałązkach przydrożnych brzóz zmieniają się w ładne perłowe kulki, sosny w zagajniku pachną, słabo i zimno, ale pachną. — Ach, oni nie przyjadą wcale. Tyle już było plotek...

Sztachety, potem rozebrany płot, potem dziurawe ogrodzenie z siatki. Potem nic, a na prawo dom wśród brzóz. Nagły strach, czy się co nie stało. Nagła ulga, że się nic nie stało. Rozpalony do czerwoności mały piecyk, szczęśliwe opary kartoflanki, stereotypowe pytanie, co mówili w mieście.

— Ach nic, tylko czterdziestu ludzi zabrano dziś przy kolejce... I jeszcze mówili, że Schutzpolizei ma tu przyjechać... I że łapanki w Warszawie.

— Kto mówił?

— Budkowa.

Uspokajające machnięcie ręką. — Ach, Budkowa zawsze gada! Kapustę masz?

Razem z garnkiem kapusty wyłania się wieść o Dzierlackiej, ale dziwnie jakoś zwątlała i uwiędła. Po prostu nikt nie słucha tego, co opowiadam o Danusi Dzierlackiej. Ktoś rozlewa kartoflankę w wojenne gliniane miski, ktoś kraje chleb, ktoś inny mówi, żeby nie krajać, bo kartoflankę można zjeść bez chleba, a chleb będzie na wieczór. Ktoś głosi przepowiednie o końcu wojny. Ktoś irytuje się, że dosyć ma przepowiedni, ktoś prawie krzyczy, żeby nie było żadnych wiadomości choć przez czas tej kartoflanki...

Łatwo powiedzieć! Kiedy przychodzi czas na wiadomości, to niczym ich nie powstrzymasz. Przychodzą z zimnym pędem powietrza przy każdym otwarciu drzwi, z zabłoconym śniegiem naniesionym przez każde wchodzące buty, wkradają się w każdym dźwięku głosu

w sieni. Czy rzeczywiście nie można by się tak zmęczyć rąbaniem drzewa do piecyka, żeby już nie reagować na wiadomości? Nie, nie można. Nigdy jeszcze nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej od złych wiadomości. Nigdy nie jest tak dobrze, żeby się starannie a fałszywie nie odżegnywać od dobrej, w obawie nowego zawodu. Jedno jest pewne: do świąt nic się już nie zmieni. Te święta trzeba jakoś spędzić. A z tego wynika inny pewnik: na wilię muszą być pierogi z kapustą.

Z kapustą? Stąd już tylko jeden krok, i oto już wyłaniają się znowu z niebytu Dzierlackie, matka i córka. Kochające się, kłócące, jednakowe i dziwne...

*

Dymy z kominów idą prościuteńko w górę na zimowym bladym niebie. Studnie obrosły lodem. Niebieskawe cienie łamią się na śniegu wzdłuż drogi, a w sieni Jagodzińskiego, drugie drzwi na lewo, klamka aż parzy mrozem.

— Tak, właśnie rozmawiałyśmy z Danusią, — śmieje się do mnie Dzierlacka od kuchni. Właśnie mówiłyśmy, że pani przyjdzie do nas po kapustę na święta!

Wydała mi się trochę inna, niż przedtem. Weselsza. Nawet, jakby trochę lepiej wyglądała. W pokoju też coś się zmieniło: zrobiło się jakoś cieplej, zasobniej. Porozstawiane statki, gospodarski nieład, na stoliku biała mąka, stolnica, wałek... — Widzę, że pani się już zagospodarowała, pani Dzierlacka? Jakże wam się udaje handel na Bugu?

Pani Dzierlacka chmurnieje. W milczeniu bierze z rąk moich garnek i pochyla się nad dobrze już nadczerpaną beczką. Długo grzebie na dnie swoją kopyścią. I dopiero po chwili rozlega się jej obrażony nieco, dudniący nad próżnią klepek, głos.

— A czy to ona dała mi chodzić na Bug? Przecież postawiła na swoim, i mnie nie puściła a sama poszła, — i odwracając się ku mnie z pełnym garnkiem, zatacza koło ręką:— Ot, co zrobiła! Kazała mi piec pierożki, a sama sprzedaje na kolejce. Jedzie na ósmą minut pięćdziesiąt, a wraca po dwunastej. No i co pani na to? — zapytuje, spoglądając na budzik, potem na mnie.

Co ja na to? Nie wiem sama, co odpowiedzieć. Dobrze mi znajome za jasne oczy patrzą pytająco, nie wiem czego ode mnie czekają: aprobaty dla tej Danusinej samowoli? Czy też nagany?

Ale okazuje się, że pani Dzierlacka niczego ode mnie nie czeka. Zasiada na niskim stołeczku, którego dawniej nie było, z moim garnkiem między kolanami, i opowiada po swojemu prędko, gwałtownie, jaka to ta jej Danusia jest. Że tak się o nią, o matkę strasznie bała, że już zupełnie nie mogła wytrzymać. Matka zastawała ją prawie nieprzytomną z męki czekania. Ciągle tylko powtarzała: ciebie jedną już tylko tutaj mam, i co będzie jeśli ciebie Niemcy złapią? I to nie dla żadnej sprawy, tylko dla marnego jedzenia...

Zabulgotało coś na płycie. Pani Dzierlacka wstaje, znowu spogląda na godzinę, przestawia garnki, i jakby trochę uspokojona, z dumą opowiada o tym, jak Danusia sama wyprosiła sobie kredyt u młynarza, jak się o wszystko wystarała pod nieobecność matki, jak o wszystkim pomyślała co i jak...

— Jak stara, no mówię pani, zupełnie jak stara. A jakie ma szczęście! Jak to od niej kupują! Tylko przejdzie się, wykrzyknie „pierożki, świeże domowe pierożki"... Pani sama zobaczy, kiedy pani pojedzie do Warszawy. Ale teraz „przede święty", to pani już chyba nie pojedzie?

Nie, „przede święty" już nie zdążę pojechać. Trzeba coś zrobić w domu, przygotować trochę jedzenia...

Pani Dzierlacka znowu chmurnieje... — Tak, tak, trzeba coś przyszykować... A choćby i te paczki do więzienia, choć nawet i to nie wiadomo, czy te ścierwa im oddadzą...

W zamyśleniu postukuje łyżką o brzeg garnka. — Najgorzej w święta takiemu co się kryć musi w lesie, czy gdzie, jak ten szczuty zwierz. I jak to takiemu paczkę z domu podać? — mówi z rozpaczą. — My z Danusią nieraz jak o nich rozmawiamy, to potem Danusia w nocy tak płacze, tak płacze... Bo to i ojciec, i brat, i teraz ciotka...

— Bo siostra męża też na Pawiaku... Cała rodzina pepeesowska! — oznajmia z dumą, odwracając ku mnie rozpłomienioną od kuchni twarz. Jest teraz jakby natchniona, prawie piękna, pod czubem potarganych bardzo ciemnych włosów, gdzieniegdzie już siwiejących. Szpecą ją tylko różowe obwódki oczu za jasnych, a zbyt skorych do płaczu.

Patrzę, słucham... — Siostra męża, to ta pani wspólniczka, co to niby zachorowała?

— No tak, co to będziemy przed sobą... Ja przecież dobrze widzę, że pani też...

Milczymy długą chwilę. Ludzie za oknem chodzą, gadają, słychać turkot fur po bruku. Ruch przedświąteczny.

— Dawniej to były święta... — w zamyśleniu wspomina pani Dzierlacka. — Inteligencja to może tak nie dbała, ale w porządnej proletariackiej rodzinie to wszystkiego musiało być... Mąż był zecerem, dobrze zarabiał, pani wie... Nieraz myślę, co on by powiedział, że jego córka tak teraz lata z koszykiem po tych wagonach? Że tak się sama rządzi, jak chce, że ja ją tak puściłam? — zwraca się znowu do mnie, nagle zgryziona, niespokojna.

— A cóżby miał powiedzieć? Ucieszyłby się!

— Myśli pani... — pani Dzierlacka znowu spogląda na budzik i coś przestawia na kuchni.

— Ucieszyłby się, że córka taka dzielna, że daje sobie radę, że kocha matkę...

Pani Dzierlacka rozjaśnia się. — No, co do tego, to już nie ma o czym mówić, ona po prostu wariowała ze strachu o mnie!

— A pani wariuje ze strachu o nią... No nie?

Tak powiedziałam i zaraz pożałowałam tych słów, widząc jej nagle zmienioną twarz. Więc zaraz dodaję, że Danusia słusznie mogła się niepokoić o nią, o matkę. Ale niepokoić się o Danusię, to już nie ma najmniejszego sensu. Przecież Niemcy nie zaczepiają takich dzieci w wagonach, nawet Niemcy...

Pani Dzierlacka znowu się rozpromienia. I taką rozpromienioną zachowałam w pamięci. Na zawsze. Bo przecież nigdy już jej nie miałam zobaczyć. Ani jej, ani Danusi...

*

Jeździłam wprawdzie tej zimy kolejką do Warszawy, nawet parę razy. Zdawało mi się kiedyś, że słyszę jej dziecinny głos w chórze tych rozmaitych cukierków, karmelków, nadziewanych, irysków, papierosów, bułeczek, świeżych bułeczek... Ale nie, to nie był jej głos.

Był starszy pan z walizką pełną pączków nadziewanych, świeżych, arakowych, była ładna czarna dziewczyna z pasztecikami, ale Danusi nie było... Były kobiety uginające się pod worami czegoś i pod bańkami mleka, były inne z tobołami potwornych rozmiarów, a nieproporcjonalnie lekkimi, jak pęcherze, bo pełnymi pustych baniek. Byli podwarszawscy handlujący mieszczanie w długich butach i granatowych kaszkietach, byli wynędzniali inteligenci z teczkami i w okularach, były miasteczkowe paniusie-sklepiczarki, jeżdżące do Warszawy po towar, wracające z Warszawy z towarem, ale Danusi nie było.

Grajek harmonista, na pamięć znający każdy bufet stacyjny i każdego bywalca kolejki, poufale i szelmowsko doń mrugający, odśpiewywał przepitym ale ładnym głosem „Jaka piękna jest moja dziewczyna", pod fałszywe granie harmonii. Trzy starsze byłe śpiewaczki, zziębłe, zgłodniałe, resztkami głosów nuciły staroświeckie tria, słodko i muzykalnie. Panowie w sakpaltach wyglądający na pasażerów, nagle a niespodziewanie otwierali walizeczki pełne nożyków, grzebyków i „asortymentów" igieł w papierkach. Kolejka szumiała interesami, gadaniami, handlem, towarem, macherkami, opowiadaniami o „rajzach": tu zabili, tam złapali, tam rozstrzelali. Wszystko to, przerywane od czasu do czasu uderzeniem straszliwych niemieckich oczu pod hełmami, cichło nagle i znowu wzbierało zgiełkiem po przejściu niemieckich ciężkich butów. Tak, tak, normalne życie kolejki wrzało, ale nie było w nim Danusi.

— Cóż — myślałam, — widocznie jeździ w innych godzinach, albo przeziębiła się i siedzi w domu. Trzeba by tam do niej zajść...

Co to długo gadać, niewiele o niej myślałam. Może tylko parę razy przeleciało mi tak przez głowę, pełną własnych spraw, własnych trosk, własnych niepokojów. Aż raz mignęły mi, już przy wyjściu w Radzyminie, zielonkawo-siwe wąsy, dobrodusznie chytre oczy pod granatowym kaszkietem, cały pan Jagodziński, w kurcie, w długich butach, z żelazną rurą od piecyka pod jedną pachą, z paczką w żółtym papierze pod drugą.

Przy wysiadaniu znikł w tłumie, ale znów się wyłonił przy furtce, gdzie odbierano bilety. Poszliśmy razem ulicą. Spytałam o lokatorki, o tę małą Danusię, co sprzedawała pierożki w kolejce.

Aż przystanął pod murem. — To pani nic nie wie? Niemiec ją zabił w Markach. Będzie już trzy tygodnie...

Oparłam się trochę o mur. — Przecież Niemcy nie zabijali dzieci po kolejkach...

Obejrzał się w koło i zaczął ochoczo szeptać: — A co pani sobie myśli? Widocznie śledzili za takim jednym młodym, co jej dawał coś do koszyka... I jak tylko kolejka ruszyła z Marek, Niemiec rzucił się na nią, ale ona też cwana była, nie można powiedzieć... Widać tylko poczuła, że źle, i wszystko co miała, wyrzuciła za okno. Niemiec od razu zabił ją kolbą, ale w koszyku nic nie znalazł, tylko te pierożki. A wie pani co tam było?

Nie wiedziałam. Stałam oparta o mur, widziałam dokładnie przechodzących ludzi, widziałam zielonkawe wąsy Jagodzińskiego.

— Najciekawsze na koniec... — obejrzał się raz jeszcze wokoło i patrząc mi tak z bliska prosto w twarz, szeptał dobitnie dzieląc wyrazy: — za-pal-ni-ki do gra-na-tów! Moja pani, zapalniki do granatów! Pani słyszy? Takie dziecko...

Milczałam. A on, przeczekawszy chwilę: — Cieszę się, że się ich pozbyłem z mieszkania. Bo to cała rodzina taka. Ten młody, powiadają, że to jej brat, co był za desanta w lesie... Ojca Niemcy złapali z bronią, i nie wiadomo czy żyje.

Milczałam. Nie śmiałam pytać o matkę. Ale on sam powiedział, że znikła zaraz nazajutrz. Wyniosła się. Wyjechała.

— Nie poznałaby jej pani, nie ten człowiek. Zrobiła się siwa. Ale spokojna, nie mówiła nic. No to ja tu skręcam, a pani prosto.

Dopiero teraz zauważyłam, żeśmy znowu uszli kawałek, mijaliśmy teraz sklep Wojcieszkiewicza z brzęczącymi drzwiami, z których wysypali się ludzie. Jagodziński zatrzymał się przy nich, ale po chwili dogonił mnie znowu.

— Tam, u mnie w tym ich mieszkaniu siedzi już ktoś inny. Szwagierkę wziąłem z dziećmi, ona też ma dobrą kapustę, nawet lepszą. Pani będzie potrzebowała, to pani wstąpi...

Helena Boguszewska

Lublin—Kraków, zima 1945.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

DO SYNA

Nie szukaj w moich oczach kształtu dla spojrzenia,
niech wzrok twój po nade mnie do światła dorasta.
Bo w moich oczach żyją po umarłych cienie,
a ciemność rozjaśniają palące się miasta.

Nie pytaj mego serca jak sercem uderzyć,
by wzruszyć grudkę ziemi, z niebem zawrzeć [przyjaźń.
Bo serce moje było w tej wojnie żołnierzem
i z miłości już tylko potrafi zabijać.

Gdy jak ja pośród śmierci, zbłądzisz w życiu [własnym,
to nie pytaj o drogę żadnej strony świata.
Bo one czerpiąc mądrość z mojej wyobraźni
nie będą ci umiały wskazać lotu ptaka.

Ażebyś miał myśl celną, dłoń niepokonaną,
to spal moje marzenia tak jak spalisz kości.
Ty nad ogromnym morzem krwi w wojnie przelanej
zbudujesz dla Ojczyzny trwały port wolności.

Gdy zapragniesz, to pragnij słońca i pogody
i tak zaufaj Ziemi, jak ja ufam gwieździe.
Byś dłonią uzbrojoną w własny tylko dotyk
pokonał mój niepokój i zdobył me szczęście.

ADAM WAŻYK

Norwid urojony

W numerze 19 „Odrodzenia" Kazimierz Wyka ogłosił pod tytułem „Norwid nieobecny" odpowiedź polemiczną na moje „Uwagi o Norwidzie i norwidyzmie". Wyka zapytuje, czy moje uwagi pomyślane były jako wstęp do dyskusji. Oczywiście. Spodziewałem się poruszyć nie tylko wyznawców „małej socjologii", do których sam siebie Wyka zalicza, ale i tej zwykłej, prawdziwej. Wolałbym spotkać przeciwnika na tej arenie i poczuć deskę pod łopatkami, byleby prawda na tym zyskała.

Dyskusja, w której adwersarze stosują dwie różne metody, zawsze porasta w nieporozumienia. Wiele nadmiernych nieporozumień dałoby się przecież uniknąć, gdyby polemista dosłownie cytował moje zdania zamiast je omawiać. Niestety, we wszystkich wypadkach, kiedy Wyka powołuje się jakoby na moje sądy czy tezy, konsekwentnie mija się z moją myślą. W jedynym wypadku cytuje mnie dosłownie, ale wtedy rozbija i łączy dowolnie fragmenty moich zdań. Następstwa są bardzo niepokojące... Pisałem o snobizmie Norwida, starając się scharakteryzować typ społeczny, jaki reprezentował w swoich czasach. Tymczasem dowiaduję się, że bardzo dowolne są moje wnioski, „jakoby to snobistyczne wmówienie zdeterminowało cały stosunek Norwida do ruchów postępowych i odcinało poetę od kontaktu ze współczesną mu rzeczywistością". Takich opacznych wniosków ani myślałem wysnuwać, byłoby to conajmniej śmieszne. Następnie Wyka twierdzi, jakobym stawiał tezę o „mijaniu się cywilizacyjnym Norwida". Nie wiem doprawdy, co te słowa znaczą, chociaż rozumiem, w jakiej intencji Wyka z tym fantomem walczy. Dalej — jakobym podsuwał Norwidowi, że uważa fakt społeczeństw zachodnich za przypadkowy, przeciwstawiając im Polaków jako przyszłych nauczycieli Zachodu. Wyka polemizuje z Norwidowską „Pieśnią do ziemi naszej", ale nie ze mną. Nic na ten temat nie pisałem i uważam to za sprawę poboczną.

Wobec takich nieporozumień, trudno o rzeczową dyskusję.

MAŁA SOCJOLOGIA NIE JEST SOCJOLOGIĄ

Wyka proponuje konstrukcję prądu literackiego, konstrukcję pokolenia, aby wytłumaczyć tragiczne rozbicie złudzeń Norwida o swoim wieszczym posłannictwie, jak również jego stoicką postawę wobec wielkich romantyków. Tłumaczy ją mianowicie tym, że Norwid znalazł się w drugiej generacji romantyków.

Metoda naukowa jest tym słuszniejsza, tym bliższa prawdy, im więcej cech badanego przedmiotu może ogarnąć i objaśnić. Konstrukcja Wyki tłumaczy nam tylko jedną cechę — stoicyzm. I wcale jej nie tłumaczy, bo interpretuje tylko jeden szczegół tej cechy. Stoicka postawa Norwida odnosi się przecież nie tylko do trzech wieszczów, ale przede wszystkim do współczesnego mu świata gospodarki kapitalistycznej, do tego świata, który Norwid odczuwa jako wrogi sobie okres cywilizacji. Współcześni Norwidowi parnasiści, których ani ziębiło ani grzało starszeństwo wieszczów w romantyzmie polskim, także przybierali stoicką postawę. Działo się to po roku 1848, kiedy było wiele powodów do utraty wiary w możliwości podważenia tej gospodarki.

Konstrukcja Wyki nie uwzględnia tej zbieżności. Nic zresztą dziwnego, że oderwana konstrukcja prądu literackiego, na dobitkę prądu, który zaczyna się w kraju, a dogasa na emigracji, nie może należycie umiejscowić pisarza i jego ideologii. Tym bardziej niezrozumiały jest wniosek Wyki: „Tak więc przyczyny, dla których twórczość Norwida nie mieści się w normalnym toku ewolucyjnym naszej literatury, prościej od dużej wyjaśnia mała socjologia. Czas na postawę Norwida wobec Zachodu". Wcale jeszcze nie wiemy, dlaczego twórczość Norwida gdzieś się mieści, gdy tymczasem socjologa czy krytyka literackiego musi interesować coś więcej: gdzie i jak się ta twórczość mieści. Jeśli można sądzić z pobieżnego szkicu Wyki, to „mała socjologia" jest toporkiem do rozszczepiania ideologii pisarza na szereg odrębnych kwestii i tematów, do których dorabia się doraźne interpretacje, przeważnie psychologiczne, przy czym samo kryterium podziału nie ma nic wspólnego z kategoriami rzeczywistości historycznej. Przypomina to do złudzenia naszą eklektyczną przedwojenną humanistykę, tyle że różni się od niej nazwą.

W ten sposób postępując, Wyka wykroił sobie temat: „Postawa Norwida wobec Zachodu" i wykazał, że jest ona dwoista. Pomimo, że Wyka nie dostarczył przekonywających dowodów, można mu tylko przytaknąć. Bo Zachód to odstręczająca Norwida produkcja fabryczna, bo Zachód to podziwiane przez niego zabytki sztuki czy rękodzielnictwa, bo Zachód to admirowani przez niego wielcy ludzie, bo Zachód to wcale nie zachwalane przez niego walki rewolucyjne, bo Zachód to ludność Paryża, do której odnosił się z uznaniem podczas oblężenia i stracił uznanie podczas Komuny. Wybierając takie kryterium jak „Zachód", można wykazać u Norwida nie dwoistość, ale szaloną kakofonię uczuć, rozwinąć cały wachlarz sprzeczności pozornych, a zagubić obiektywne sprzeczności, które na pewno w Norwidzie istnieją.

Wrogi stosunek do cywilizacji kapitalistycznej góruje u Norwida z całą oczywistością. Wyka stara się to zbagatelizować, sprowadzić do jakichś doraźnych wyskoków, do których ma jakoby uprawniać Norwida sam fakt, że jest moralistą. „Słowem, wszystko co podpada pod jego (Norwida) uwagę, staje się w potrzebie materiałem niezależności moralisty". Trudno nadziwić się takiej socjologii, która znajduje w społeczeństwie ludzkim, „niezależnych moralistów". Taka socjologia doprowadzi nas nieuchronnie do olśniewającej konkluzji, że pewien pan krytykuje w ogóle wszystko, bo ten pan jest w ogóle moralistą. Ale na szczęście ten pan nie ma nic wspólnego z Cyprianem Kamilem.

Co prawda Wyka pisze: „Otóż Norwid z tą samą zaciętością satyryczną moralisty widzi sielankowe, niżej poziomu europejskiego toczące się życie wsi polskiej i swojej klasy społecznej". Niestety, wszystko tu jest grubo naciągnięte — i bliżej nieznana klasa społeczna, i poziom europejski, i zwłaszcza sielanka. Cóż — Norwid występuje przeciwko najgorszym objawom szlachetczyzny w kraju, jeden z przykładów Wyka podaje. Ależ też nigdy Norwida za obrońcę szlachetczyzny nie śmiał uważać. A co do sielanki owego życia, to właśnie wizję patriarchalnej sielanki „kraj gdzie okruszynę chleba..." Norwid zawsze przeciwstawia kapitalistycznej cywilizacji. Nie dlatego, że ten zakątek ponoć jest jeszcze w Polsce, nie dlatego, że ta wroga cywilizacja jest właśnie na Zachodzie, ale dlatego, że stosując w krytyce kapitalizmu tę samą miarkę, co dystansowane warstwy drobnomieszczańskie i drobnochłopskie we Francji, Norwid łatwiej rzutuje swój utopijny ideał społeczny i obyczajowy na zacofaną gospodarczo Polskę, niż na inne kraje. Tym łatwiej, że jako uchodźca drobnoszlachecki niewątpliwie zabarwia ten ideał reminiscencjami z dzieciństwa. Tę dominującą u Norwida tendencję Wyka usilnie stara się zatrzeć, podsuwając mu jako kryterium jakiś nieistniejący ani w odczuciu Norwida, ani w obiektywnej rzeczywistości, fikcyjny Zachód w sensie integralnej, wspaniale wykończonej, podziwu godnej, składnej, organicznej cywilizacji.

CIEŃ, ALE NIE NORWIDA

Przyczyny, dla których casus Norwida nie mieści się w „normalnym toku ewolucyjnym naszej literatury", nie tkwią w psychologicznych urazach Norwida, jak chciałby Wyka, ale całkiem gdzie indziej: w sztucznej oderwanej konstrukcji, którą Wyka nazywa normalnym tokiem naszej literatury.

Mamy w tym okresie wybitną anomalię wynikającą z losu narodu i jego inteligencji. Romantyzm polski przeżywał dni wielkości swojej na obczyźnie. Pozytywizm polski rozwijał się w kraju i doprawdy trudno wyobrazić sobie emigranta pozytywistę. Twórczość Norwida, zwłaszcza jego poezja, wykazuje poważne zbieżności z tymi, co przyszli we Fran-

cji po romantykach. Widać wyraźnie zakręt, na którym Norwid wypada z „toku ewolucyjnego naszej literatury“, skoro na romantykach kończy się rozdział zagraniczny, a od pozytywistów zaczyna się nowy rozdział krajowy. Podręcznik literatury wykonuje skok, pozostawiając Norwida na emigracji i — na długi czas w zapomnieniu. Na tym samym zakręcie traciło się zresztą z oczu, tym razem z powodów politycznych, socjalistyczną publicystykę Mickiewicza, wyrosłą bezpośrednio ze „stosunków zachodnich“.

Uwzględniając tę sytuację, proponowałem: „Rzeczowa krytyka powinna wyświetlić podobieństwa między Norwidem a parnasistami na tle drugiego cesarstwa. Tu znalazłby się klucz do wielu nieznanych na naszym gruncie tendencji...“ Nie chciałbym przez to powiedzieć, że Norwid wpada w tok literatury francuskiej, ale propozycja moja uwzględnia bardzo ścisły, chociaż swoisty, związek Norwida z Zachodem. Czemu tedy Wyka wytacza jakoby przeciwko mnie cały szereg twierdzeń na temat — Norwid i Zachód? Bo idzie mu zupełnie o co innego. O porównywanie Norwida z naszymi romantykami i sądzenie ich w obliczu „cywilizacji Zachodu“.

W tym celu Wyka rozszczepia Norwida na moralistę i obserwatora, a tego drugiego tak reklamuje: „Jako obserwator i socjolog pojmujący układ, siłę i organiczną cywilizacyjną składność Zachodu, jest on najmniej w tej cywilizacji zagubiony, spośród naszych wszystkich wielkich poetów“. I słowa te Wyka podkreśla. Dogadaliśmy się do tego, że „zagubiony“ Mickiewicz staje się trybunem ruchu robotniczego, socjalizmu w jego stadium utopijnym, a „najmniej zagubiony“ Norwid, awansowany na socjologa, ciągle utyskuje na to, że chociaż w Polsce i całej Europie wiele się dzieje, to właściwie nic się nie dzieje. Wyka wygłasza przy tym zdumiewające twierdzenie: „Jeśli zżyma się on (Norwid) na tę cywilizację, to dlatego, że rozumie on na sposób niedostępny ani Mickiewiczowi ani Słowackiemu, że stoi w obliczu wielkiego i skończonego tworu człowieka, do którego Polakom i ich cofniętej cywilizacyjnie ojczyźnie jest jeszcze daleko“.

Co prawda, na ten sposób, niedostępny ani Mickiewiczowi ani Słowackiemu, ani też nigdy później żadnemu człowiekowi prawdziwego postępu, rozumiał cywilizację zachodu Stanisław Brzozowski, patron wszystkich nieporozumień naszej nieszczęsnej humanistyki, ale Norwid — trzeba go wreszcie wziąć w obronę i przed Brzozowskim i przed Wyką — wcale tego nieporozumienia nie podzielał, bo odnosił się ponad wszelką wątpliwość krytycznie do pewnej i znanej sobie, w określonym miejscu i czasie przekwitającej cywilizacji kapitalistycznej.

W artykule swoim Wyka zapewnia, że na norwidystów idziemy wspólnie. Przykro mi, że Wyka myli się co do własnych intencji. Artykuł Wyki jest jeszcze jedną próbą wygrywania Norwida przeciwko wielkim romantykom, a w tym wypadku sam Norwid nic a nic nie zawinił.

Drobnomieszczańska utopijna formuła społeczna Norwida, którą w dalekiej konsekwencji historycznej faszyzm zużył i wyszargał w swojej maskaradzie, została ostatecznie skompromitowana. Widocznie również moje twierdzenie, że nie można oddzielić norwidowskiego postulatu pracy od pokory religijnej, wypadło dość przekonywająco. Wyka proponuje inny wariant adoracji ideologicznej Norwida; po rozproszeniu sylwetki młodopolskiej i powersalskiej chętnie by widział w polu nowego życia poetyckiego trzecią sylwetkę poety, jako ambasadora fikcyjnego „Zachodu“.

Ależ właśnie ta fikcja zrodziła się w zaścianku! Na pozór uszlachetnia ją dążność do podniesienia kultury rodzimej na jakiś szczebel wyższy, do zrównania jej z owym wspaniałym tworem Zachodu. W istocie ta bałamutna fikcja zaciera prawdziwą historię społeczeństw, obiektywne sprzeczności, przejawiające się w kulturze, konkretny charakter omawianej cywilizacji, jej blaski i cienie, jej żywot i losy. Ta fikcja jest pobocznym produktem tych samych tendencji solidarystycznych, przyjętych z tej samej poręki Brzozowskiego, z których wywodziła się powersalska adoracja Norwida i jego sylwetka nr 2. Wyka naiwnie odprawia niewczesne nabożeństwa przed tą fikcją, nieświadomy jej właściwego sensu.

Nie będzie zgody na Norwida nr 3. To już nie cień poety, to tylko jeszcze jeden ponury cień Brzozowskiego.

NARESZCIE TROCHĘ POEZJI

W uwagach swoich nie dotykałem poetyki Norwida. Przyznaję, że z braku odpowiednich materiałów pomocniczych, nie czułem się na siłach. Pisałem tylko tyle, że garść niepospolicie pięknych utworów poetyckich Norwida ma tym większe znaczenie dla nas, ile że po romantykach na dłuższy czas tylko one stanowią żywy, przejmujący dzisiejszego czytelnika dorobek, tylko one wnoszą nową, inną naturę wyobraźni, wzbogacającą doświadczenie poetyckie. Wyka wskazuje, że światem poetyckim Norwida był obiektywny świat kultury, że elementy kultury stanowiły podstawowy materiał jego wyobraźni. Dalej wskazuje na kulturowe i historyczne dziedzictwo zachodu, pomijając wstydliwie dziedzictwo rodzime. Wierny swoim bogom Wyka nie wyznacza granic tej kultury w tworzywie poetyckim Norwida, chociaż granice są nader wyraźne: Norwid zatrzymuje się na kulturze rękodzielniczej, rzemieślniczej, na obyczajowości związanej z życiem patriarchalnym, rodzimym, przy czym i rzemiosło i obyczaj rodzimy bezspornie góruje nad owym zachodnim. Pod tym względem elementy jego wyobraźni doskonale zgadzają się z ideałami społecznymi, ale to wcale nie znaczy, aby ten kształt poetycki miał dzielić ich los. Czemu jednak ten właśnie typ wyobraźni powinniśmy stawiać komuś za wzór, tego dalibóg nie rozumiem. Wyka zapatrzony w swoją fikcję uogólnionej „kultury“ łudzi się, że poezja Norwida naprowadzi poetów na sycenie swojej wyobraźni kulturą w ogóle. Tutaj Wyka popełnia zwykły błąd idealisty. Zresztą cała admiracja dla wyobraźni, czerpiącej tworzywo przede wszystkim ze świata kultury jest sprawą jego osobistego upodobania, nie znajdującą żadnych argumentów, za ani przeciw, w rozwoju poezji.

Wyka wymienia rozmaite cechy poezji Norwida, bezspornie zastanawiające, ale bieda z tym, że cechy nie występują oddzielnie i nie oddziaływują z oddzielna. Na to właśnie wskazywałem w swoich uwagach na podstawie obserwacji przedwojennej. Jeśli zaś Wyka radzi młodym poetom wybierać między moimi uwagami a poezją Norwida, to wybór nie nastręcza wątpliwości, ja także, chociaż pierwszą młodość dawno mam za sobą, wolę kilka wierszy Norwida — tylko bez fikcyjnego Norwida nr 3.

Adam Ważyk

Uczeni rosyjscy o powstaniu styczniowym

W Związku Radzieckim szerzy się coraz większe zainteresowanie dla spraw polskich. Obejmuje ono wszystkie dziedziny życia kulturalnego, naukowego, literackiego i artystycznego. Historycy rosyjscy zajmują się szczególnie walką narodu polskiego o wolność. Ostatnio dwie prace naukowe zostały poświęcone powstaniu styczniowemu 1863 r.

S. Szkrob w rozprawie „Powstanie 1863 r. i polski ośrodek rewolucyjny w Petersburgu“ szczegółowo bada działalność aktywnego uczestnika polskiego ruchu wyzwoleńczego — Józefata Ogryzki i jego rolę w organizacji polskich rewolucjonistów w Petersburgu przed powstaniem styczniowym. Autor zebrał dużo nowego, nieznanego materiału.

M. Misko napisał pracę „Powstanie polskie 1863 r.“, gdzie zajął się głównie wewnętrznymi dziejami powstania, jego warunkami i rozwojem, jego siłami motorycznymi, charakterem i przyczynami upadku. Dużo miejsca poświęcił autor walce w obozie powstańców między odłamem umiarkowanym, mieszczańsko-szlacheckim a rewolucyjnym, drobnomieszczańskim. Została ukazana łączność między powstaniem a rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Wyciąg z tej pracy zamieścił M. Misko w nr 1—2 (137—138) czasopisma „Istoriczeskij Żurnał“ z r. 1945.

Warto zanotować główne myśli autora. „Powstanie narodowe 1863 r. było mieszczańskie w swojej treści klasowej. Przyjęty przez powstańców program wysuwał zasady mieszczańsko-demokratyczne: zdobycie narodowej i społecznej wolności dla wszystkich mieszkańców kraju i obdzielenie chłopów ziemią. Siłami motorycznymi powstania było drobnomieszczaństwo i szlachta. Ale brały też w nim udział klasy wyzyskujące polskiego społeczeństwa; one też hamowały jego rozwój, jego socjalny rozmach. Chłopstwo nie wzięło masowego udziału w walce, chociaż sympatyzowało z powstańcami i w ten lub inny sposób pomagało im. Znaczna część robotników również nie wzięła czynnego udziału w powstaniu, ograniczywszy się tylko do pośredniego popierania go. Ze względu na skład uczestników, powstanie 1863 r. było jeszcze zbyt szlacheckie. Ale nie tylko ze względu na skład, lecz także ze względu na stare tradycje szlacheckie. Powstańcy mało myśleli o uwolnieniu spod pańszczyzny polskiego chłopa i nazbyt troszczyli się o odzyskanie dla polskich obszarników ziem ukraińskich, białoruskich i litewskich. Między „białymi“ a prawym odłamem „czerwonych“ nie było głębokich różnic. „Czerwoni“ sami szukali poparcia ze strony umiarkowanych i znajdowali je... Kierownictwo powstania spoczywało w rękach elementów mieszczańskich i przedstawiało mieszczański blok partii „białych“ i prawego odłamu partii „czerwonych“.

Powstanie 1863 r. otrzymało całkowite poparcie ze strony rosyjskich rewolucjonistów w osobie Czernyszewskiego, Herzena, Bakunina i Ogariowa... Czernyszewski był w bardzo bliskich stosunkach z Sierakowskim, Dąbrowskim i innymi organizatorami powstania. Herzen, Ogariow i Bakunin występowali za granicą śmiało w obronie Polaków, uderzając w carski rząd. W Polsce powstała tajna organizacja wojskowa, składająca się w większości z rosyjskich oficerów. Jeden z nich, Andrzej Potiebnia, zginął następnie w walce na czele oddziału powstańczego. W liście do czasopisma „Kołokoł“ (redagowanego w Londynie przez Al. Herzena), rosyjscy oficerowie pisali: „Umrzemy, ale nie będziemy gnębić wolności, nie zhańbimy honoru rosyjskiego“. „Kołokoł“ ze swej strony wzywał rosyjskich oficerów, żeby raczej zginęli, „ale nie podejmowali broni przeciw Polakom“.

Tak więc rosyjscy rewolucjoniści stanęli otwarcie po stronie polskich rewolucjonistów, uznawszy ich wyzwoleńczą walkę narodową za sprawiedliwą, stanowczo jednak stwierdzali, że tylko na podstawie demokratycznej jest możliwy sojusz między nimi a polskimi rewolucjonistami; dążyli też do skojarzenia polskiego narodowego ruchu wyzwoleńczego z rewolucyjnym ruchem w Rosji. W interesie wyzwolenia całej Rosji rewolucjoniści rosyjscy chcieli okazać w miarę sił pomoc również polskiemu powstaniu. Naturalnie, pomoc ta nie mogła być wydatna. Tajna wojskowa organizacja w Królestwie Polskim (ogółem licząca tylko 200 członków) została niemal całkowicie rozbita jeszcze przed powstaniem. Śród wojska rosyjskiego były sympatie dla powstańców. Postronny obserwator powstania, szwajcarski oficer Erlach, stwierdza przechodzenie wielu jeńców rosyjskich na służbę polską...

Znacznie bardziej istotną była pomoc ze strony rosyjskiej rewolucyjnej emigracji, a przede wszystkim Herzena, Bakunina i Ogariowa. „Kołokoł“ nieustannie dodawał otuchy polskim powstańcom. Wyjechawszy z Londynu do Szwecji, Bakunin spotkał się tam z ekspedycją Łapińskiego, zorganizowaną w Anglii i mającą wylądować na brzegach Litwy. Bakunin stracił wiele czasu ratując tę źle zorganizowaną ekspedycję, z którą chciał się dostać do Polski. Jednak ekspedycja nie doszła do skutku. Bakunin pozostał w Sztokholmie i prowadził tam agitację na rzecz Polaków...

Lenin pisał o Herzenie: „Kiedy cała hałastra liberałów rosyjskich odsunęła się od Herzena za jego obronę Polski, kiedy całe „społeczeństwo oświecone“ odwróciło się od „Kołokoła“, Herzena nie wyprowadziło to z równowagi. Bronił w dalszym ciągu wolności Polski i chłostał pogromców, katów, wieszatielów Aleksandra II. Herzen ocalił honor demokracji rosyjskiej“.

Marks i Engels także gorąco sympatyzowali z powstaniem polskim 1863 roku. Jeszcze w 1848 roku stanowczo domagali się odrodzenia Polski niepodległej jako środka mającego rozbić reakcyjne Święte Przymierze i zrewolucjonizować całą Europę. Pokładali oni w powstaniu 1863 r. wielkie nadzieje, łącząc z nim nadejście nowej ery rewolucyjnej w Europie...

Nadając powstaniu polskiemu 1863 roku ogromne znaczenie międzynarodowe, Marks i Engels popierali je, ponieważ restauracja niepodległej Polski była wówczas sprawą postępu. Lenin całkowicie solidaryzował się z Marksem i Engelsem w sprawie polskiej.

Powstanie polskie 1863 r. było najbardziej postępowe ze wszystkich polskich powstań narodowych, ale nie powiodło się właśnie dlatego, że było niedostatecznie rewolucyjne. Klasowe ograniczenie szlacheckich rewolucjonistów było jedną z przyczyn klęski powstania Polska demokracja mieszczańska okazała się niekonsekwentną i nie zdołała rozwiązać słusznie najważniejszych zagadnień narodowej walki wyzwoleńczej. Nie rozumiała, że bez agrarnej rewolucji, bez udziału całego chłopstwa powstanie narodowe było skazane na niepowodzenie. Polska demokracja nie rozumiała i nie chciała widzieć, że obszarnicy i mieszczaństwo nie chcieli zrezygnować ze swoich klasowych przywilejów dla przywrócenia niepodległości narodowi polskiemu. Klasy panujące polskiego społeczeństwa hamowały rozwój powstania, w końcu zdradziły je. Uważając udział klas panujących za nieodzowny warunek zwycięstwa powstania, polska demokracja równocześnie zaraziła się oportunistycznymi poglądami i nastrojami. Najbardziej typowym ugodowcem był oczywiście Giller. Ale nie tylko prawy odłam „czerwonych“ cierpiał na ugodowość... W tym sensie interesujący jest list Polaków, studentów uniwersytetu moskiewskiego: „Naszym głównym dążeniem jest wyzwolenie naszego narodu. Dopóki naród podlega drugiemu — nie powinny w nim być partie. Wszystkie powinny się zjednoczyć dla wspólnego celu wyzwolenia spod obcego jarzma. Naród niezdolny do tego, nie jest godny samoistności“. Jak widzimy, zasada jednolitego frontu narodowego pojęta tu jest jako absolut, wykluczający wszelką możliwość jednoczesnej walki klasowej o wyzwolenie narodowe i o wyzwolenie ludu spod pańszczyzny.

Polska demokracja mieszczańska nie pomyślała, że jej szczerymi sojusznikami w innych krajach mogli być tylko rewolucyjni demokraci, kierujący się w swojej walce zasadami międzynarodowej demokratycznej solidarności, że panujące reakcyjne klasy nawet państw wrogich Rosji mogły interesować się sprawą polską tylko z punktu widzenia własnych korzyści w politycznej rozgrywce z Rosją. Zamiast zwrócić się o pomoc do międzynarodowej rewolucyjnej demokracji, powstańcy polscy ustami swoich rządów wszystkie swoje nadzieje związali z rządzącym mieszczaństwem Francji, Anglii i innych zachodnio-europejskich krajów. Rządy powstańcze odrzucały nawet pomoc zagranicznych rewolucjonistów, żeby tylko nie skomplikować swoich stosunków z rządami Zachodniej Europy. O tym stanowisku Polaków pisał później Bakunin: „Rewolucjoniści polscy w tym samym czasie pragnęli i nie pragnęli rewolucji rosyjskiej... Nie pragnęli z dwu przyczyn. Pierwszą wymieniłem: to niechybnie socjalistyczny, chłopski, przeciwpańszczyźniany charakter rosyjskiej rewolucji. Druga przyczyna — to nieszczęsna sprawa granic... Ich ideał, przedmiot ich gorących dążeń — to restauracja dawnego państwa polskiego w granicach 1772 roku“. Dlatego Bakunin nazywał ich „niepoprawnymi szlachcicami“.

Ignorowanie pomocy ze strony rewolucyjnej demokracji innych krajów miało także swoje źródło w ogólnej demokratycznej niekonsekwencji polskich powstańców. Giller wprost oświadczył: „Między narodami nie było i nie ma solidarności“. Taki ciasny mieszczański nacjonalizm przeszkadzał polskim powstańcom w znalezieniu prawdziwych sojuszników w innych krajach i pchał ich do zbliżenia z wątpliwymi sojusznikami z obozu konserwatywnego. Nacjonalizm ten uwarunkował również dążenie polskich demokratów, żeby w skład Polski włączyć Prawobrzeżną Ukrainę, Białoruś i Litwę, co tylko utrudniło ich walkę o własne narodowe wyzwolenie.

Historia nie raz dowiodła, że zguba Polski tkwiła w niekonsekwencji jej rewolucjonistów. Historia dowiodła, że w okresie mieszczańskich rewolucji demokratycznych odrodzenie narodowej niepodległości Polski możliwe było tylko na drodze agrarnej rewolucji i sojuszu z rewolucyjną demokracją krajów sąsiednich, a przede wszystkim Rosji, tj. na konsekwentnie demokratycznej podstawie.

Rewolucjoniści polscy nie potrafili wybrać tej jedynie słusznej, rewolucyjnej, demokratycznej drogi i ponieśli klęskę. Naród cierpiał nadal pod podwójnym jarzmem — społecznym i narodowym.

Analizując przebieg i wyniki polskiej narodowej walki wyzwoleńczej Fr. Engels sformułował krótki, po prostu proroczy wniosek: „Polska... na skutek całego swojego historycznego rozwoju i na skutek swojej obecnej sytuacji stoi przed alternatywą — albo być rewolucyjną albo zginąć“. Ten wniosek Fr. Engelsa całkowicie potwierdzony został przez dalszy bieg historii aż do naszych dni“.

KORNEL FILIPOWICZ

PIOSENKA CZESKA

To jest piosenka czeska —
mój miły pojechał w świat.
Utoczona jak kamień w rzece
okrągła wiśnia w twoich ustach —
umrę jeśli zapomnę jej kształt.

Otwórz zielone okiennice —
z głębi powietrza, z czarnego lasu,
kukułka myli jak pamięć.

Po znajomej ścieżce,
którą przeczuwasz z góry jak ptak,
po codzień węższej kładce,
niezgodnej ze stąpnięciem jak serce —
U ramion ciąży ci samotność —
wiadra z niebem zaczerpniętym w potoku.

Kiedy wrócisz kochany, kiedy wrócisz?
co dnia,
z lękiem w gardle
i radością nowego oczekiwania!

A ostatnią nutę piosenki uronioną w strumieniu
zawiesił nad głową skowronek, [jak łzę
dopóki niebieski horyzont
nie osuszy mi źrenicy
wspomnienia
najczystszego krajobrazu.

KRZAK GOREJĄCY

Na rozstaju wichrów
ratunku krzyczysz!
Tu w koło ziemia faluje jak morze
i chmurzy się kasztanami
kolumnowy dwór na wzgórzu.

Jakże powoli zdąża ci na pomoc
oracz spętany lejcami.
Czy to Wola? Nie — Wola?
nie pytaj o drogę;
jesteś obcy i twój gest
zawisa w powietrzu jak ruch ręki głuchoniemego.

Nie pytaj o czas;
tu ziemię liczymy na włóki,
a struga wysączyła ten jar aż do granitu.

W rudym brzegu zagrzebano go tak płytko,
że z jego brody kiełkuje już
gorejący krzak róży.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

— Pechowych? — zdziwiła się pani Aramowiczowa.

— Największym powodzeniem cieszą się u Polaków wodzowie powstań, które się nie udały. Kościuszko, Dąbrowski, Puławski — co to oni mają po całym kraju ulic, placów, pomników! Ale niech kto zostawi po sobie coś udanego, coś naprawdę pozytywnego, niech mu się powiedzie tę naszą nędzę wyjątkową trochę podźwignąć, to o nim głucho. Powiedz mi, — zwrócił się specjalnie do żony, — kto się będzie u nas zachwycał takim Wielopolskim? albo Lubeckim? Bo to jest przemysł, handel, fabryki, gmachy, bo to są całe miasta; taka Łódź, Pabjanice, Ozorków! Dlatego, że to są czyny, nie klapy!

Teraz nikt, poza chyba panią Aramowiczową, nie poczuwał się do winy. Sprawa była zbyt daleka, nie bardzo też wydawała się aktualna. Celia nie mogła ni z tego ni z owego nagle wstać w tej chwili i iść do telefonu. Męcząc się, nie odrywała oczu od Honoraty, która siedziała spokojnie naprzeciwko. Jej twarz była jak zwykle biała i gładka, zamknięta na swoje usta i oczy, prawie nieruchoma, delikatnie we wnętrzu swym żująca ostatni kęsek. Powieki były spuszczone, równe z czołem, płaskie i okrągłe, jak monety.

Zawsze tak siedziała w milczeniu, niby nieobecna, nie wykraczająca poza swoją rolę. I Celia pomyślała gorzko, czemu nie ona jest taka ładna, tylko tamta.

Ojciec mówił, utrzymując się wciąż w charakterze niedocenionego męża stanu:

— Jaką niesławą aż po dziś okryta jest wspaniała postać Stanisława Augusta. Pomyśleć — humanista o niezawodnym smaku i kulturze, o pierwszorzędnej inteligencji, europejczyk najwyższej klasy — żeby tutaj, w Warszawie, gdzie po prostu co krok widać monumentalne ślady jego indywidualności, nie miał nie tylko pomnika, ale choćby ulicy czy placu. To jest poza naszymi granicami rzecz nigdzie niemożliwa. Parafiańskie obstawanie przy zacności, lubowanie się w krzywdach dziejowych, upodobanie do klęsk i zarazem jakaś patologiczna nienawiść do kultury... Dlatego na eksport mamy tylko chybionych bohaterów, możemy ich dostarczać w ilości dowolnej...

Tak sarkał przez całe śniadanie, mając w istocie myśl zaprzątniętą czym innym. Wszystko, co zachodziło w tych dniach, zdawało się zwolna i z różnych stron zmierzać do konfliktu. Dla Aramowicza było rzeczą jasną, że wypadki hiszpańskie w obecnym swym stadium wywołają zatarg włosko-francuski. Mówił dziś o tym z różnymi ludźmi, którzy niejednakowo na to patrzyli. Aramowicz jednak pewny był swej słuszności.

Ta słuszność nie odstępowała go na krok, nie dawała mu spokoju. Miał wciąż w pamięci obraz rautu w Ministerstwie, pogodną pokojową scenę w rogu białej sali, gdy to siedząc z dala, między Czarncewiczową i Sielicką, nie mógł oczu oderwać od ministrów dwóch państw, jeszcze związanych paktem o nieagresji, ministrów, wymieniających na pożegnanie kurtuazyjny uścisk ręki. Właśnie w ostatnich dniach dowiedział się Aramowicz o ujawnionych świeżo niejasnych szczegółach wypadków wrześniowych. Wiadomo, że dopiero ujrzawszy Czechosłowację całkowicie izolowaną, Europa ochłonęła z przerażenia. Gdy czeski minister Spraw Zagranicznych rozmawiał w Pradze z posłami Anglii i Francji, decyzja Londynu i Paryża już była zapadła. Wypowiedzenie sojuszu przez oba te rządy zmusiło Czechosłowację do cesji obszaru Sudeckiego. Podstępny chwyt, którym to osiągnięto, wprowadzając w błąd doświadczoną Intelligence Service, był niewątpliwie wyjątkowo zręczny. Ale stało się już teraz jasne, jaką rolę odegrał w nim przedwczorajszy gość Warszawy, „dygnitarz o łagodnych oczach". I tego właśnie goszczono tutaj, jak sprzymierzeńca! Temu ściskano ręce i mówiono słodkie słowa! Wiadomo przecież, co może knuć, wiadomo, czego chce.

— Ale Lubecki ma w Warszawie swoją kolonię, — cichutkim głosem powiedziała jednak panna Rozwielska.

Pani Aramowiczowa podniosła głowę z niepokojem. Jednak nic poważniejszego z tego nie wynikło.

— Ma, no to cóż, — niejasno mruknął minister.

Gdy wstano od stołu, Celia szepnęła do Honoraty, że dziś nie będzie się czesała. Odeszła do swego pokoju, zdjęła słuchawkę i nakręciła numer Edmunda w Ministerstwie. Usłyszała jego głos, egzotycznie akcentujący: „Halloo". I powoli, wstrzymując oddech, nacisnęła palcami widełki, zanim najciszej położyła na nich słuchawkę.

Więc jednak nie mogła nawet się odezwać. Straszne zaiste były sidła, w które wpadła. Ale sidła to nie było właściwe słowo. Czuła się raczej uwięzła w jakimś gęstym lepie — niezdolna do ruchu, niezdolna do życia, obezwładniona w myślach i woli, na pół tylko przytomna. Każda próba wyzwolenia, każdy najmniejszy gest w tym kierunku zanurzał ją tylko głębiej w mazi tego przeklętego szczęścia.

Ubrała się, prawie nie patrząc w lustro. Wskoczyła do pierwszej taksówki i kazała się wieźć. Gdzie?

— Na Plac Piłsudskiego. Co? Więc nie, na róg Wierzbowej.

Po chwili przechadzała się po tej ulicy, przy której ani jedna wierzba nie rosła. Czekała na niego. Oczy jej pociągała dziwna kamieniczka, dość wysoka, której fasada mieściła jedno zaledwie okno, powtarzające się od pierwszego piętra do ostatniego. Tylko na dole był okazały sklep, podobny do innych na tej ulicy. Celia wyobrażała sobie, że w domu tym mieszkają jeden nad drugim wyłącznie samotnicy, związani jakby w zakon tym jednookiennym losem.

Przeszła na drugą stronę, by łatwiej móc śledzić drzwi biura, ukryte w podcieniu ciężkich łuków wychodzącego tu lewego skrzydła pałacu.

Gdy znów przystanęła przed wystawą magazynu z kapeluszami, złożył jej wojskowy ukłon „narzeczony" Honoraty, generał Wysokolski. Szedł z Barazem, którego też znała. Serce przestało jej bić, jakby ją przyłapali na gorącym uczynku. Chociaż nie mogli wiedzieć, że tu „wystaje", jak prosta dziewczyna, czatująca na wyjście z biura obojętnego kochanka. Nie mogli wiedzieć, że przygląda się kapeluszom, z których żadnego nie włożyłaby przecież na głowę.

Przeszła dalej w stronę Placu Teatralnego, ale zaraz wróciła, przerażona, że się z nim rozminie. I znów musiała oddać ukłon staremu posłowi Chrudoszowi, który biegł śpiesznie z pochyloną głową. Był gruby, niezgrabny i w ogóle obrzydliwy. Za każdym krokiem szerokie, mocno zaprasowane spodnie rozwiewały mu się, jak spódnica.

Z ciemnych drzwi pod arkadami wyszedł naprzód pewien Olo Prześlicki, później nieprzyjemny stary Ślemień, później paru nieznajomych. Celia tupała nogami, które jej marzły w grubych botach z białego filcu. O pewnej chwili odważyła się znów przejść w stronę Placu Piłsudskiego. Samochody mknęły gładko jezdnią w obie strony, jeden z bliska otarł się o nią. Była tak upokorzona, tak głęboko smutna, że pomyślała o śmierci jako czymś łatwiejszym, niż to czekanie.

I wtedy zobaczyła Edmunda. W czarnym palcie z fokowym kołnierzem, które tak znała, w meloniku, zsuniętym na tył głowy, z rękami, wtulonymi w kieszenie, szedł pochmurny i obojętny. Szedł spokojny, nie szalony, jak ona. I na szczęście szedł sam.

Stanął, gdy nasunęła mu się na oczy.

— Czekasz? — spytał najzwyklej w świecie.

Od razu ujął ją pod rękę, zawrócił w miejscu i wiódł w stronę Mazowieckiej — naprzód przestronnym miejscem przed pomnikiem Księcia Józefa, później trudnym przejściem w poprzek Królewskiej, gdzie śmigały w cztery strony zajadłe samochody i przecinające się z nimi czerwone tramwaje.

— Pójdziemy do Zodiaku, — oznajmił, nie wdając się w żadne wątpliwości. Nie był wcale zdziwiony, nie spytał, skąd się tu wzięła. To ona tłumaczyła mu żywo i niepotrzebnie, że nie miała czasu zatelefonować. Tak jakby ona była winna.

— Coś robiła? — spytał wreszcie.

Cóż miała mu powiedzieć? Przyznała się, że nie robiła nic. Zaczęła mówić o swym ojcu, czując, że on nie słucha. Pomyślała, że jest nudna, że mu jej obecność cięży. Uczuła rozpacz. I niespodzianie przypomniała sobie Honoratę. Rzuciła się na nią, jak na pastwę, nie zdołała przecież doszukać się w niej smaku. Mówiła ze śmiechem o jej minkach, o jej przechwałkach, o jej „narzeczeństwie". Była złośliwa, była niesympatyczna. Edmund piąte przez dziesiąte słuchał tych plotek. Nie żeby go nie obchodziły, ale że zapomniał jakby, o kim mowa. Dopiero gdy Celia w charakterze starającego się o rękę tak podanej Honoraty wymieniła generała Wysokolskiego, Edmund okazał nadspodziewane zainteresowanie i nawet pewien niepokój.

— Nie, co ty mówisz, czy na serio?

Celia bardzo wątpiła, czy na serio. Nie mogła zrozumieć, czym wtrąciła Edmunda w tę nagłą zadumę. Mówiła z przesadnym przejęciem, w głosie jej wyraźnie drgały łzy. Prędko przeszła na temat, że jedyną rzeczą jaką ceni, jest swoboda. Że się jej nie wyrzeknie, nawet gdyby miała zerwać z rodziną. To przywróciło Edmundowi przytomność. Zauważył, że jest zimno.

— O, tu wchodzimy, — rzekł.

Teraz właśnie spotkali Baraza. Szedł tak śpiesznie, że omal nie wpadł na nich. Edmund zaprosił go do stolika. Wkrótce, zanim jeszcze tamten poszedł, przysiadł się do nich Oczajowski, z którym, jak się okazało, Edmund się umówił. Nie byli więc wcale sami — tu, gdzie tak dobrze w ciemnawym świetle czerwonych lampek przy papierosie można było rozmawiać. Okazało się też, że Edmund był po raucie na dancingu. Celia nie mogła wiedzieć, że Edmund poszedł śledzić swą matkę, tańczącą z Rozrażewskim.

Oczajowski napisał dwie książki, cenione przez smakoszy, ale wyśmiewane przez ludzi o zdrowym rozsądku. Ponieważ sam szanował tylko ludzi rozsądnych, a smakoszami pogardzał, więc źle mniemał o sobie. Był skromny i nieśmiały, zazdrościł innym wszystkiego; czego nie miał. Uważał się za człowieka bezradnego wobec ludzi i wobec życia. Imponował mu spokój, opanowanie, dobra forma. Pragnął nade wszystko nie zwracać na siebie uwagi, być takim, jak każdy. I usiłował to osiągnąć w sposób, który właśnie zwracał uwagę ogólną.

Człowiekiem opanowanym wydawał mu się Baraz, po prostu wzorem tego, jak trzeba. Szukał jego przyjaźni, czegoś od niego czekał i spodziewał się, zdradzając tę chęć zaczepkami i wyznaniami, które odstręczały Baraza, biorącego to za drwiny. Celia przeszkadzała im w tej grze, żartując sobie z nich obu.

Pierwszy powstał Baraz, żegnając się sztywno i chłodno. Gdy odszedł, Oczajowski zgasł od razu, sądząc, że go wystraszył i przepraszając za to Edmunda i Celię. Zrobiło się okropnie nudno i Edmund nieznacznie spojrzał na zegarek.

— Śpieszysz się? — spytała Celia.

— Nie, tylko że umówiłem się na piątą, — mówił zmartwiony i nieszczęśliwy.

— No to idziemy, — rzekła mężnie, wstając.

W szatni sam zapiął białe botki na jej stopach, błyskawicznie ogarnął się futrem.

— Czy mogę cię odprowadzić? — spytał tak czule i ciepło, że się cała ugięła pod ciężarem szczęścia. Ale odprowadził ją tylko do bramy, nie wszedł na górę. I tak się rozstali.

ROZDZIAŁ III

Przez te wszystkie dni po raucie Wysokolski wbrew pozorom czuł się nieświetnie, co było w sprzeczności ze zwykłym jego usposobieniem. Zapewne, niepokoiła go, jak innych, ogólna bardzo naprężona sytuacja. Miał jednak i własne sprawy, które mu dolegały.

Niemiłe wrażenie po owej na raucie rozmowie z Aramowiczem jeszcze wzrosło, gdy znaleźli się we dwoje z Agatą sami. Powrót samochodem do domu nie poszedł gładko. Agata zdawała się mieć mu coś do zarzucenia, z natury czego od razu zdał sobie sprawę. Nie widzieli się wyraźnie, mówiąc. W karecie było prawie ciemno, przelotne światła dobywały z ich twarzy jakieś istności jednorazowe, nieznane, zapomniane dawno lub zgoła obce. Wysokolski leżał głębiej w niskim siedzeniu, cały zatopiony cieniem, Agata tkwiła lekko na brzegu ławki, uważnie trzymając w ręku torebkę i futrzaną kapę. Jej mała głowa nikłą sylwetką rysowała się na szybie, światła mijanych latarni głaskały ją po włosach.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—24 „Odrodzenia".

JÓZEF SIERADZKI

Szkoła na przednówku

Nie trzeba jechać do Warszawy, Gdańska, Wrocławia, by stanąć oko w oko ze zniszczeniem, dokonanym przez wojnę. Można je oglądać w nietkniętym, cudem strategii ocalonym Krakowie. Wystarczy zajść do szkoły. Kto odczuwa troskę o narodową kulturę, ulegnie uczuciom podobnym do tych, które wzbudza widok zrujnowanych dzielnic, spalonych wsi, sadów zamienionych na wiatrołomy.

BLASKI I NĘDZE

Jesteśmy w odrodzonej szkole. Uczniowie nie kluczą już po ulicach, by nie wpaść na szpicla węszącego ofiarę, policyjną „sztrajfę" z odbezpieczonymi automatami, czy w środek łapanki. Nauczyciele nie trwożą się za lada dzwonkiem u wejściowych drzwi. W krakowskich gmachach szkolnych, które stoją jak stały, znów zaroiło się i przez stare miechy płynie młode wino.

W zestawieniu z ponurym dniem wczorajszym istnieją pełne warunki dla pracy, choć brak książek, pomocy i sprzętów nawet. W odrapanych, zatrącających jeszcze wonią lazaretu lub niemieckich koszar salach z portretem Kościuszki i Mickiewicza, z białym orłem w czerwonym polu, są uczniowie z nauczycielem.

Zdawałoby się, że w znów własnej szkole taki zapanował głód wiedzy, iż trudno go zaspokoić. Że lekcje języka, nie maskowane już płaszczykiem korespondencji, wyglądane są więcej niż rekreacja, godziny historii ojczystej oczekiwane z upragnieniem. Tak wynikałoby z zamiany niewolnictwa z kartą rozpoznawczą na wolność, pańszczyzny dla śmiertelnego wroga na pracę na własnym, biletu śmierci pod murem lub w obozie na prawo życia. Wynikałoby z deklaracji składanych przez uczniów w przemówieniach na akademiach, uroczystościach publicznych i obchodach szkolnych.

Rzeczywistość jest nieco odmienna. Są szkody wojenne niewidoczne dla oka a równie dotkliwe jak one, bardziej bodaj niebezpieczne i trudniejsze do odrobienia. Dewastacja umysłowa osiągnęła stopień trudny do określenia. W rozważaniach można wahać się w wyborze terminów Ludwika Krzywickiego: czy popadliśmy w okres dzikości, czy tylko barbarzyństwa. Nie ma w tym chyba nadmiernej przesady, gdy idzie o etykę i stosunek do pracy w społeczeństwie. Nie ma, gdy idzie o poziom oświaty na wsi i w mieście.

Niemieccy „Schulraci" osiągnęli swe cele. Stan języka polskiego nadaje się do specjalnych badań. Z retorty, w jakiej znalazł się w ciągu strasznych lat, wychodzi zaprawiony pogazową mazią, zdziczały, nieznany temu, który nim mówi i chce wyrażać myśli, zwulgaryzowany.

„Jeżeli król chciał co ogłosić, szedł do uniwersału". „Król zasłużył sobie panowanie". „Ludwik węgierski rządził w Polsce po łebkach".

Ortografii nie ma w ogóle, ostatecznie chyba fonetyczna. „Horongiew", tempili, żewny, komurka, Kościószko (III gimn.), zakąńczący, przywrucił pokuj, przectawiciel, wewnęczny, zarządał, złorzenie, mondry". Znaki diakrytyczne przestały istnieć, przestankowanie i dzielenie wyrazów zależą od wybryków fantazji. Cóż mówić o czytelnictwie, znajomości najcelniejszych utworów, wierszy na pamięć, sztuce deklamowania. Gruzy i chwasty.

W klasie, z której okien widać królewski zamek, kilkanaście uczenic nie wiedziało co to Wawel. Sfanatyzowani nacjonaliści nie wiedzą o Jagielle, Batorym, Sobieskim. Hanna Malewska przekonała się, że nie wiedzą o Kościuszce („Odrodzenie", nr 23), inna nauczycielka, że Wandom i Jadwigom nic nie wiadomo o ich patronkach. Bolesławom i Kazimierzom też.

Spadek po systemie, który skutecznie niszczył mózgową substancję narodu, jest bardzo smutny. Ale jeszcze gorszy jest nastrój lenistwa i brak poczucia obowiązku. Nie wiedzą i nie chcą wiedzieć. Przywykły do tego nauczyciel staje bezradny wobec rozmiarów i powszechności tego zjawiska. Dewizą jest zbyć wszystko bez wysiłku. Podobnie jak u starszych, którzy masowo unikają pracy. Właśnie na ich wzór. Dezorganizacja społecznej woli, wulgarny hedonizm, upodobanie w pasorzytnictwie, życiu bez wysiłku i użyciu. Młodzi chłopcy piją wódkę i widziano w szkole 12-letnich w stanie nietrzeźwym. Paskują i mają więcej pieniędzy i to łatwiej zdobytych, niż ich wychowawcy.

Uderzająca jest obojętność nawet na bodźce trafiające w najwrażliwsze punkty. Jak gdyby wyczerpana była zdolność odczuwania, wyschnięte źródła emocji. Zabór Pomorza i rzeź Kaszubów w Gdańsku przyjmują do wiadomości równie obojętnie jak najnowszy komunikat frontowy. Chrobry snuje wielkie plany słowiańskiej monarchii, Łokietek nie zsiada z konia i do ostatniego tchnienia bije się o ojczystą miedzę — chłopcy są znudzeni i nieprzeniknięci w swej obojętności. Czyżby napięta nadmiernie sprężyna uczucia nie umiała wrócić do pierwotnego położenia? Spospolitowanie zbrodni i okrucieństwa zdeformowało dusze, zostawiło bruzdy, które nie mogą zarosnąć?

Na obchód święta odrodzonej szkoły — w Krakowie, który ma niejaką tradycję w dziedzinie narodowych obchodów — stawiła się zastanawiająco mała część uczniów i liczeni rodzice. Na akademię 3-majową również. W tym samym dniu na defiladę przed pomnikiem nieznanego żołnierza w klasie liczącej 38 dziewcząt przyszło 5, w innym miejscu na obchód szkolny z 40 chłopców w klasie przybyło 5. Jeszcze gdzieś indziej musiano zrezygnować z poranka, stawili się bowiem tylko nauczyciele i uczniowie-wykonawcy. Uroczystość odroczono na pierwszą lekcję następnego dnia nauki szkolnej.

CZERWONE A BŁĘKITNE

Metryka społeczna uczniów n-tej szkoły jest prawdziwie ludowa, można powiedzieć proletariacka. Zawód ojca? Murarz (niesamodzielny), stolarz w elektrowni, emeryt kolejowy, formiarz u Zieleniewskiego, szlifierz metalowy w guziczarni, maszynista, tokarz, magazynier, kolejarz, nauczyciel, robotnik w garbarni, dozorca, robotnik w piekarni, strażnik, woźny magistratu, malarz, drukarz, chłop na 2 morgach, szofer, starszy pielęgniarz, kaflarz, spawacz, pracownik gazowni, laborant.

Na 125 uczniów 86 jest synami robotników i pracowników fizycznych, 27 pracowników umysłowych, 12 kupców i samodzielnych przedsiębiorców. Gdyby nawet statystyka ta była nieco podbarwiona przez niezbyt ścisłe określanie zawodu ojca, określa ona zdecydowanie społeczny charakter uczniów.

Ale nastroje polityczne są dziwnie pod błękit, jak gdyby szkołę wypełniał element ziemiański. Można podziwiać żywotność szlachty i siłę z jaką w ciągu tylu dziesięcioleci narzucała masom mieszczańskim (i chłopskim) swoją ideologię, aspiracje, snobizm i ambicje, nie licząc przywództwa. Rzecz słabnie bez wątpienia w naszym czasie, lecz trwa i wcale nie myśli łatwo ustąpić z pola. Zbyt głęboko weszła w krew.

Demokratyczna Polska? To coś z urzędowej propagandy, z okolicznościowego przemówie-

nia, z gazety. Sprawiedliwość społeczna? Wiatr od wschodu. Od tego zaś miejsca beznadziejny, bez wszelkiego aktualnego pokrycia kompleks wyższości i lepszości. Dziwne to, na opak w stosunku do społecznego oblicza środowiska, pomylone i nieuświadomione. Ich prawdę kształtowano długo, a popularny Marianek z „Pałacu Prasy" nie darmo prowadził rubrykę „Spod czapki Monomacha". Ideologia i terminologia „Ikaca" paruje wszystkimi porami, opanowuje świadomość i głębokie warstwy podświadomości. Dla innej narazie dostęp jest trudny i powolny.

Dzieci ludu marzą nadal na tematy szlacheckie a zuchowaci podczas pierwszomajowej manifestacji dają nura w tłum z kolumny marszowej. Przełomowcy z epoki wojen i rewolucyj noszą na plecach cudzy garb i nie chcą się go pozbyć.

Obraz byłby jednostronny a przez to nieprawdziwy, gdyby na nim zabrakło miejsca dla rozgarniętych chłopców i dziewcząt, których stosunek do nauki i pracy opłaca trud nauczyciela i wkład społeczeństwa. Tych co już wiedzą wiele dzięki własnemu najczęściej wysiłkowi. Tych co nie wiedzą jeszcze, ale chcą wiedzieć. Takich, którzy pracują po ośm godzin, zdobywając środki na utrzymanie, a wieczorami wypełniają sale szkolne, uczą się trygonometrii, praw Newtona, o fizjokratach i rewolucji francuskiej. Skrzywdzeni dobijają się udziału w wiedzy.

Jest np. klasa dziewcząt utworzona w 3/4 z przybyszek ze wsi podkrakowskich. Niektóre chodzą codzień do szkoły pieszo dwie godziny i nigdy nie spóźniają się. Tylko kilka najszczęśliwszych znalazło pomieszczenie w „Hoteliku dla dziewcząt", doskonale prowadzonym internacie. Wiele kursuje niezmordowanie między wsią i miastem, cierpi niedostatek, lecz pracuje wzorowo. Jest klasa liceum, w której 15 uczniów to kolejarze, robotnicy w fabrykach, pomocnicy handlowi. Trzej z nich są żonaci, dwaj mają dzieci i troskę o byt rodziny. Sortują listy, przepuszczają pociągi, szlifują guziki — i kończą średnią szkołę. Światła niezgaszone przez przeciwieństwa losu i wojny biją prawdziwym blaskiem, trudności życia nie łamią woli. Jest na kim oprzeć początki poważnej pracy, jest pierwszy rzut dla porwania całej masy na drogę prawdziwego odrodzenia.

OTWORZYĆ WSZYSTKIE OKNA

Mizeria podręcznikowa sprawia, że uczniowie zaopatrują się w jakie kto zdoła, często dawniejsze książki. Z nich czerpią niejednokrotnie „wiedzę", której próbki podajemy dla ilustracji:

„Pani ta (Jadwiga) żyła jak anioł, w dobrych uczynkach, postach, jałmużnach i modlitwach aż wyprosiła sobie u Boga upragnione dziecię. Ale niestety córeczka, imieniem Bonifacja, zmarła wnet po urodzeniu, a sama królowa przeżyła ją tylko o dni parę. Zmarła w roku 1399. Z niezmiernym żalem króla i obu narodów, u grobu jej cuda się działy."

Nic dziwnego, że **taka** historia nie znajduje głębszego oddźwięku u młodzieży. Ultramontanizm walczy w tym o lepsze ze spirytualizmem, wszystko razem zaś z historyczną prawdą i powagą nauki.

„Bolesław (Szczodry) rozjątrzony do żywego zamordował własną ręką świątobliwego pasterza. Okrutna zbrodnia przejęła wszystkich zgrozą. Opuszczony i bezsilny morderca świętego męczennika uszedł na Węgry, a w końcu został mnichem w Ossjaku, gdzie umarł ostro pokutując."

Takie i tym podobne brednie w stylu Kadłubka mają dziś jeszcze dostęp do młodych umysłów i kształtują ich pojęcia. Co prawda cytaty te nie pochodzą z nowszych podręczników, ale i w nich nie ukazano właściwej treści dziejów, tworzonych jak wszystkie dobra ludzkie przez masy. W ujęciu naszej literatury podręcznikowej (i nie tylko podręcznikowej) pozostają one wciąż infrahistorycznym elementem, biernym obiektem zachcianek królów i wodzów, których kontredans jest alfą i omegą oraz sensem dziejów całego rodzaju ludzkiego. Jednostronna przewaga elementu politycznego, zrzadka tylko i w niedostatecznej mierze ustępuje miejsca zainteresowaniu dla zjawisk społecznych i gospodarczych, a szkoła materializmu historycznego nieomal nie znalazła wyrazu w naszym dziejopisarstwie. Jeżeli zaś idzie o tendencję społeczną z łatwością możnaby wybrać ze wspomnianych podręczników do nauki historii barwny bukiet antyspołecznych cytatów.

Ożywczy wiatr musi też powiać przez historię literatury jak i samą literaturę, której wybór musi odpowiadać społecznemu obliczu Polski współczesnej. To co obecnie brzmi w salach szkolnych jest anachronizmem, dogasającą melodią partytury, która w niejednym urąga duchowi nowego czasu.

Narazie niewiele nowego dzieje się w odrodzonej szkole, jak niewiele dokonało się w wyższych uczelniach i instytucjach naukowych. Dotychczasowy efekt polega na uruchomieniu aparatu i odbudowie sieci szkolnej w krótkim czasie skromnymi środkami. Na właściwe odrodzenie przychodzi dopiero kolej. Czeka przebudowa in capite et in membris. Przez świat przetoczył się potop wydarzeń o epokowym znaczeniu i nieprzemijającej doniosłości. W huraganie ostała się stara forma szkoły, która już w chwili narodzin obarczona była wielu błędami, budziła najpoważniejsze zastrzeżenia i nie znalazła aprobaty w społeczeństwie. Szkoła z okresu przedwojennego w swej organizacji i programie była konstrukcją ściśle związaną z systemem politycznym, który niesławnie zakończył swój żywot.

W NAUCZYCIELSKIM POKOJU

Kadry nauczycielskie stają przed nielada zadaniem i pokażą co umieją. Narazie w pokoju nauczycielskim, który więcej niż kiedykolwiek jest mózgiem szkoły wobec braku naukowych pomocy i podręczników, jest zimno i głodno Gdy pijawki na bazarach zbijają pieniądze i sprzedawcy papierosów mają dostatnie zarobki, nauczyciel nie może związać końca z końcem. Nawet z środkiem miesiąca. Uważając się za realistów nie mamy prawa żywić się iluzjami. Płace nauczycielskie nie stanowią podstawy egzystencji, gdy 4-osobowa rodzina ma utrzymać się z około 1000 zł. Na sąsiednim Śląsku werbuje się oficjalnie nauczycieli samotnych za czterokrotnie wyższym wynagrodzeniem i wyżywieniem. Od pierwszej chwili można było oczekiwać rozwiązania tej poważnej sprawy przez ministerstwo aprowizacji, które zdaje się nie dostrzegać niedostatku panującego w rzeszy nauczycielskiej.

Minęły czasy frazesu i zbywania rzeczy pozorem twórczości. Minął smutny okres depresji zawodu nauczycielskiego, który obecnie ma doznać pełnego awansu społecznego. Używajmy więc jasnych słów i jasnych czynów. Jest to tym konieczniejsze, że szkoła stoi wobec zadań tak trudnych, jak nigdy jeszcze a nauczyciel będzie musiał z samym sobą stoczyć walkę, przełamać się, wyzbyć się wielu starych pojęć, niekrytycznych poglądów, narowów i nawyków. Niedostatek i troska o elementarny byt nie mogą zamącać nastrojów i niezbędnego spokoju nauczycieli, którzy mają szczerze i uczciwie postawić w służbę odmłodzonego narodu swą wiedzę i najlepszą pracę.

Józef Sieradzki

W OCZACH PISARZY*)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana(i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan(i) w sposób, jaki Pan(i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej, widzianej oczami już wyzwolonymi: wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan(i) uzna za słuszny.

PRZECIW FIKCJI MESJANISTYCZNEJ

Czy nie nasuwa się sama przez się w tym szczególnym momencie anachroniczna paralela mesjanistyczna z epoki romantyzmu: Polska Chrystusem narodów? Czy ten uparty mit Mickiewiczów i Słowackich, który tak fatalnie zaciążył nad pokoleniami niewoli, nie narzuca się dzisiaj z oczywistą sugestywną wymową?

O, zawsze byliśmy czuli na tę poetycką przenośnię, gloryfikującą nasze męczeństwo, a będącą w istocie rzeczy historycznym nonsensem. Dzisiaj powiedzielibyśmy: wymówką defetysty. Klęskowość, jako uraz, przedłużyła się jeszcze wyraźnie w naszą drugą niepodległość; nie byłoż jej wyrazem np. podźwiękiwanie Sybirem, krzyk mocarstwowy jako kompensacja kompleksu niedowartości? Czyż nie czuło się czegoś tragicznego w owym wielkomocarstwowym zachłyśnięciu się odrodzonej republiki, podówczas po raz pierwszy zmartwychpowstałej, w okresie, który dziś zwykliśmy nazywać międzywojennym? Każdy oddech już wtedy był duszny od pogróżek, ląd — ciężki od niebezpieczeństw, morze — nabite przyszłymi strzałami, powietrze — drążone torturą śmigieł. Nadchodził czas czołgów i samolotów. Jakże deklamowano wtedy u nas o potędze i o równości, wtedy, kiedy „Grypa w Naprawie" rozdzierała krwawiącą ranę chłopską! Miało się odwagę wtedy — na 12 lat przed tym — przepowiedzieć w tej książce upadek Niemiec (str. 252): „Niemcy, kraj diabła. Jeszcze jeden triumf ich czeka. Rozbiją Europę w puch. I runą. Upadną i nie powstaną". Ale czy nie bardziej odważne i gorzkie były słowa tej samej powieści, którymi przepowiedziało się upadek własnej ojczyzny? (str. 104): „Polska, Chrystus narodów. Zginie. Jak Chrystus zginął. Zabili go, ubiczowali, ukrzyżowali. Tak i my zginiemy. We krwi spławi się Polska jak przed stu laty".

Nikt nie jest prorokiem w ojczyźnie, pamiętajcie. Och, zaiste z goryczą musiały człowiekowi wyjść spod pióra te słowa, które niestety sprawdziły się co do joty. Ginęliśmy po raz drugi, naprawdę jak Chrystus: oplwani, pokaleczeni, zelżeni, pojeni żółcią; ubiczowano nas, wtłoczono cierniową koronę na głowę, rozdarto nam bok, przybito ręce i nogi gwoździami do krzyża. Obyśmy tym drugim męczeństwem odkupili ojczyznę tym wspaniałszą!

Oczywiście w imię rzeczywistości historycznej należy odrzucić tę zatrutą mesjanistyczną fikcję, niemniej jednak analogia Golgoty nasuwa się sama przez się. Czy więc teraźniejszość nie musiała potężnie wstrząsnąć pisarzem, który na wiele lat przed tym wywróżył upadek Polski oraz klęskę Niemiec po ich szczytowym europejskim tryumfie? Ktoś powie, że było to kwestią przypadku, ktoś inny, że natchnienia, jeszcze ktoś inny, że odwagi i może ten ostatni będzie miał najwięcej racji.

To wielkie doznanie, którego skala będzie rosła wprost proporcjonalnie do lat, oddalających nas od obecnej zawieruchy — to doznanie powinno zatargać sumieniem pisarza i przeorać dogłębnie jego psychikę. Taki wstrząs mógł przetrącić kark dawnym planom literackim, które wobec współczesnej rzeczywistości mogłyby stać się nieaktualne lub wydać się blade. Niektórzy pisarze może będą musieli przestroić swoje myślenie od podstaw. (Niektórzy uczynili to już z zawstydzającą szybkością i zręcznością). Ale kto był przygotowany duchowo, że użyję modnego terminu: dozbrojony moralnie, — czyja twórczość dojrzewała w klimacie odrębnym i niezależnym od ówczesnych wiatrów — temu nie przyjdzie trudno pracować w literaturze nowej epoki.

Rzeczywistość wojenna nie zmieniła, lecz właśnie ugruntowała moje zamierzenia twórcze, którym dałem wyraz już w początkach mego pisarstwa społecznego („Śpiewy o Rzeczypospolitej" — działalność poetycka, felietony — publicystyczna, „Grypa", „Woda wyżej" i „Młodości śpiewaj" — powieściowa). Ta ideologia będzie nadal kierowała moimi poczynaniami w przyszłości. Jej najbliższym kształtem literackim będzie napisana podczas obecnej wojny powieść o góralszczyźnie pt. **„Janosik"**. Ten obszerny epos, utrzymany w koncepcji „romansu przygód", posiada swój głęboki nurt demokratyczny o tragicznych nieraz konfliktach i załamaniach. Ta książka, w której jest także dużo mowy o miłości, a pełno zbójeckich epizodów, pragnie dać obraz wsi górskiej z jej odwiecznymi tęsknotami i wybuchami. Równoległość Janosikowego mitu (acz zmodernizowanego) jest utrzymana konsekwentnie, ponieważ historia Janosikowa nie jest przypadkową legendą, lecz ma swoje uzasadnienie społeczne.

Chciałbym wznowić „Grypę w Naprawie", która penetruje po Europie w stu tysiącach egzemplarzy (przełożona na osiem języków), ale której w Polsce nie ma na skutek dewastacji niemieckiej (skonfiskowana za obelgi pod adresem Hitlera i narodu niemieckiego); jej tematyka nabiera dziś chyba wyjątkowej aktualności w epoce reformy rolnej.

Możeby się dało stworzyć szkołę dla powieściopisarzy (jak to dziwnie brzmi!), myślę o tym; wyławiać talenty prozatorskie o dużym oddechu z powodzi pamiętnikarstwa i reportażu; ratować je przed spłyceniem i łatwizną, jaką poddaje sam temat; podnosić je z gorącego tłoku wydarzeń na wyżynę odpowiedzialności pisarskiej; sugerować im nie namiętną ocenę świadka, lecz ostre, czujne, dalekosiężne spojrzenie artysty.

Tylu ludzi nie robiło nic przez tę wojnę; sześć lat wyrwano im z życia, jakby je ukradziono. Tylu ludzi zginęło z pieśnią nie dopełnioną na ustach; śmierć urwała im ją nagle w połowie.

Chciałbym pisać. Chciałbym żyć.

Jalu Kurek

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, J. Brzostowskiej, T. Czyżewskiego, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, E. Szelburg-Zarembiny i J. Zawieyskiego w nr nr 19—24 „Odrodzenia".

PRZEGLĄD TEATRALNY

Organizacja życia kulturalnego postępuje w szybkim tempie, zatacza szerokie kręgi. Ostatnio powstał w Zakopanem **Teatr Podhalański,** pod kierownictwem **Krystyny Zelwerowiczowej i Kornela Makuszyńskiego.** Zadaniem tej instytucji jest szerzenie kultury literackiej i teatralnej na Podhalu. Projektowane są występy w Nowym Targu, Czarnym Dunajcu, Szczawnicy, Nowym Sączu i Rabce. Teatr Podhalański nie jest teatrem samoistnym, ale organizacją, angażującą i zapraszającą na występy gościnne bądź całe zespoły, bądź poszczególnych aktorów. W praktyce wygląda to w ten sposób, że sztuki, grane dotychczas w Krakowie, lub gdzieindziej, mają się następnie ukazywać w tej samej obsadzie ról, a nawet w tej samej oprawie dekoracyjnej w Zakopanem. Umożliwiają to udostępnione Teatrowi Podhalańskiemu środki komunikacji. Teatr rozporządza samochodami ciężarowymi, mającymi służyć do przewożenia zespołów i dekoracyj

Ze zrealizowanych już imprez zakopiańskich należy wymienić bardzo słabą zresztą komedię pt. „Dar poranka", graną również w Krakowie przez Karolinę Lubieńską i Wacława Ścibora. Poza tym w ramach uroczystości pierwszo- i trzeciomajowych, Jadwiga Zaklicka wystąpiła na wieczorze recytacyjnym, odtwarzając teksty Słowackiego. W najbliższych tygodniach Zakopane pozna „Zemstę", „Dziewczynę z lasu", „Męża doskonałego" i „Teorię Einsteina" w obsadach krakowskich.

Nie znaczy to jednak, aby zadanie Teatru Podhalańskiego ograniczało się do samego przewożenia i ukazywania gotowych przedstawień krakowskich na podtatrzańskim terenie. Samodzielna praca teatru pójdzie inną drogą, niepraktykowaną dotychczas. Będzie to coś w rodzaju **„sanatorium teatralnego".** Mianowicie artyści, przeciążeni pracą, lub niedomagający na zdrowiu, będą zapraszani na wypoczynek do Zakopanego, z tym zastrzeżeniem, że zobowiąże się ich do udziału w sztukach, wybranych przez dyrekcję Teatru Podhalańskiego i opracowywanych na miejscu. Ten właściwy, „zakopiański" repertuar nie jest jeszcze ustalony, w każdym razie przede wszystkim brane są pod uwagę sztuki młodych autorów polskich.

Teatr Podhalański pozostaje w ścisłej współpracy z literatami przebywającymi obecnie w Zakopanem, oraz z „Klubem Literackim", mieszczącym się w hotelu „Carlton". W imprezach klubu, o charakterze wieczorów autorskich, odbywających się w każdą środę, występowali z dużym powodzeniem Marta Reszczyńska i Tadeusz Bocheński. W ostatnich dniach, kierowniczka Teatru Podhalańskiego Krystyna Zelwerowiczowa, nawiązała kontakt z literatami krakowskimi, wysuwając propozycję zorganizowania wspólnych wieczorów literackich w Zakopanem.

W Krakowie, Studio Dramatyczne „Starego Teatru" wystawiło własnymi siłami parodię „Męża doskonałego". Zarówno tekst parodii, pióra Andrzeja Szczepkowskiego, jak wykonanie przez uczniów i uczenice studia pod reżyserią Ireny Babel, stały na nadspodziewanie wysokim poziomie. Zebrani na zamkniętym przedstawieniu przedstawiciele świata literackiego, teatralnego i kulturalnego Krakowa orzekli zgodnie, iż zgrupowana wokół „Starego Teatru" młodzież studia zasłużyła na pochwałę.

Juliusz Kydryński

TEATR W JAWNYM PODZIEMIU

Niedziela 22 kwietnia ujrzała w sali kina „Wolność" uroczystość skromną i bardzo krakowską, ale godną, by o jej sensie dowiedział się każdy, komu leży na sercu dostępność dla mas naszej wielkiej poezji. Wyszedł tej niedzieli z tajnego podziemia okupacji a przeszedł w jawne podziemie zespół, którego działalność w ostatnich trzech latach stanowiła trzon konspiracyjnego życia teatralnego w Krakowie. Jest nim dzisiejszy Teatr Rapsodyczny M. Kotlarczyka.

W latach okupacji spotykało się go w mieszkaniach miłośników poezji, to gdzieś daleko na Podgórzu czy Dębnikach, to w pobliżu Dworca. Dał wówczas siedem premier, zawsze powtarzanych kilkakrotnie: „Król-Duch", „Beniowski", „Samuel Zborowski", „Pan Tadeusz", Norwid, Kasprowicz, Wyspiański. Wolność wita dzisiaj audycją spojoną antygermańskim wątkiem: „Grażyna", „Konrad Wallenrod" i „Zawisza Czarny".

Wystarczy omówić tę premierę, by dać wyobrażenie, jaką była od początku podstawa obecnego Teatru Rapsodycznego. Jest to montaż najdobitniejszych fragmentów tych trzech utworów, tak, by w ciągu godziny słuchacz otrzymał zwartą całość. Posiada ona przebieg linii wstępującej: daje obraz rozbicia i daremnej walki na podstawie tekstu „Grażyny", po czym wznosi wspaniałą wizją Słowackiego tryumf bitwy grunwaldzkiej. W montażach poprzednich rozwiązane były zadania znacznie trudniejsze: w godzinę wpisany był rozwój „Króla-Ducha", czy pełnia „Pana Tadeusza" i godzina naprawdę to mieściła.

Recytacja zawsze wiernie wobec wymagań tekstu rozłożona na głosy męskie i kobiece, chociaż spierałbym się o oddanie bitwy grunwaldzkiej głosom kobiecym. Głosy żeńskie pozostały te same co za okupacji: Halina Królikiewicz, Danuta Michałowska, Krystyna Dembowska-Ostaszewska. Dalej uwydatnia się, mimo dużej zmiany w głosach męskich (przybyli Maciej Maciejewski, Antoni Żuliński, jest nadal Mieczysław Kotlarczyk), wyższość głosów kobiecych.

Ale co najważniejsze, pozostała i dzisiaj jest szczególnie aktualna zasada główna Teatru Rapsodycznego. Można by ją nazwać — **obsługą wielkiego słowa.** Służy temu przede wszystkim nawskróś nowoczesny w swojej prostocie sposób recytacji: tekst nie jest nigdy partyturą dla popisów głosowych zespołu, ale jest możliwie najwierniej obsłużony głosem. Wielka poezja, a tylko do niej sięga zespół, domaga się recytatorów o najwyższym kunszcie, a takich na palcach można policzyć. Mierna recytacja drażni znawcę, może człowieka prostego odwieść od słuchania poezji na zawsze. Tylko ujęcie zastosowane w zespole Kotlarczyka omija tę trudność najgłówniejszą.

Powiedziałem, że zespół przeszedł z tajnego w jawne podziemie. Jego afiszów nie znajdziecie na mieście, a o inauguracji wiedzieli tylko zaproszeni. Nie oznacza to żadnego ekskluzywnego snobizmu, ale wierność zasadzie postawionej już za okupacji: obsługa słowa wielkiej poezji wobec tych, którzy go najbardziej byli pozbawieni. Za okupacji pozbawieni byli wszyscy, słyszeć mogli tylko wtajemniczeni. Dzisiaj w każde południe zapełnia salę młodzież szkolna, zamiast nudnego komentarza i piątej lekcji słuchająca Mickiewicza i Słowackiego. Nie wątpimy, że z czasem będzie wypełniać widownię młodzież wszystka: robotnicza i wiejska. To właśnie nazywam jawnym podziemiem — ziarno, nim jego wzrost dostrzegą, pęcznieje i rozpęka w przychylnej ciemności gleby.

Kazimierz Wyka

KRONIKA FILMOWA

Twórca głośnego filmu przedwojennego „Byłem szpiegiem" („I was a nazi spy"), zrealizował ostatnio sensacyjny film amerykański pt. „Kobieta z okna" („The woman of the window"). Jest to dramat człowieka, który przypadkiem zabił napastnika w obronie własnej, a okoliczności zmuszają go do ucieczki i ukrywania się.

W Londynie największym powodzeniem cieszą się dwa filmy produkcji zagranicznej. Jednym z nich jest „Jej pierwszy bal" („Un carnet de bal"), znany u nas francuski film przedwojenny. Drugi to „Zajście w Bucharze", film produkcji sowieckiej, zrealizowany w Taszkiencie w 1943 r. Jest to adaptacja znanej powieści Sołowiowa „Ktoś zakłócił uroczystość". Treścią filmu jest działalność ludowego bohatera turkiestańskiego Naz Redina, który był legendarnym obrońcą biednych i uciśnionych, a postrachem możnych kupców i urzędników sułtańskich.

Ciekawą próbą adaptacji nowoczesnej techniki filmu kolorowego do zobrazowania świata nadrealnego, jest ostatni film Dawida Leena pt. „Widmo" („Blind spirit"). Pewien wzięty pisarz opracowuje wraz ze swoją drugą żoną dzieło o spirytyzmie. Nagle ukazuje mu się duch jego pierwszej, dawno zmarłej żony. Duch ten instaluje się w ich domu i powoduje wypadek samochodowy, w którym ginie druga żona. Mimo ogromnego bogactwa środków technicznych (różnokolorowej taśmy) i poprawnej gry Dawida Leena i Kate Hammand, film ten reżyserii Noela Cowarda nie ziścił pokładanych w nim przez krytykę angielską nadziei.

„Klucze królestwa" („The kees of the Kingdom") jest to nowy film brytyjski, gdzie główną rolę gra „nowo odkryty" gwiazdor Gregory Peck. Aktor ten występuje jako misjonarz na wyspach Pacyfiku.

Francuski reżyser Frank Capra, któremu udało się emigrować z Francji podczas okupacji niemieckiej, nakręcił w latach 1940—1944 szereg filmów pt. „Dlaczego walczymy"? Nie są to właściwie filmy dokumentarne, niemniej jednak obrazują niezłomną walkę Francji z okupantami na wszystkich odcinkach frontu.

W serii angielskich filmów wojennych przedstawiających walki żołnierzy polskich, zapoczątkowanej w roku 1941 obrazem „Dangerous moonlight", ukazał się nowy film dokumentarny pt. „Cassino".

W poprzednim (24) numerze „Odrodzenia" z dnia 13 maja: **Eugenia Kocwa:** Na meklemburskich piaskach. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (12). — **Wojciech Żukrowski:** Kożuch. — **Mieczysław Wionczek:** „Dulary" i szubienice. — **Jan Hozer:** Wracam z gór. — **Stefania Łobaczewska:** Muzyka europejska na rozdrożu. — **Władysław Machejek:** Jeszcze Polska . . . Gdy . . . — **Kazimierz Brandys:** Gielzowski las. — Kronika. — **(stł):** Przegląd muzyczny. — **Adolf Chybiński:** Sprawy szopenowskie. — **Jan Kott:** Po prostu. Drewniane bomby. — Kalendarz kulturalny. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedź **Janiny Brzostowskiej.** — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — **Juliusz Kydryński:** Teatry krakowskie. — **Tytus Czyżewski:** Martyrologia artystów. — 2 ilustracje (w tym 1 reprodukcja **Jana Rubczaka).** — 8 stron.

PRZEGLĄD PRASY

Zręczna przyprawa aktualnych zjawisk rozstrzyga nieraz o ich widzialności. Od niedawna ukazujący się w Krakowie tygodnik aktualności „Przekrój", pismo żywe, o celnych montażach i trafnym składzie tekstów, świadczy się zręczną umiejętnością ukazywania zjawisk wielekroć stwierdzonych w świeżym, ostrym świetle. Oto głosy przedwojennego I. K. C.-a z okazji wizyty Goebbelsa w Polsce w r. 1934 (nr 4 „Przekroju"):

„Cicho przemawia do niego prof. Zieliński, najpierw po polsku, potem po niemiecku. Zrywające się oklaski świadczyły o tym, że minister Goebbels wstąpił na mownicę. W lustrze umieszczonym za estradą odbijały się barwy chorągwi niemieckich, stwarzając w ten sposób jak gdyby kulisy, na tle których jeszcze bardziej wyraziście zarysowała się tak charakterystyczna postać ministra propagandy Rzeszy. Min. Goebbels poruszył wszystkie problemy narodowego socjalizmu — mówił zarówno o ideowych podstawach, jak i obozach koncentracyjnych — ze szczególną namiętnością wyłuszczał stanowisko wobec komunizmu, nie pominął kwestii żydowskiej i zakończył znakomicie skomponowanym pod względem techniki oratorskiej akordem: „Niemcy wyciągają ręce do wszystkich".

„Niemcy wyciągają ręce do wszystkich". Zestawienie tych słów, wypowiedzianych przez Goebbelsa w Warszawie w r. 1934 z fotografiami z egzekucji w ghetcie łódzkim w r. 1943 na sąsiedniej stronie i z losem Goebbelsa w r. 1945 — wymowniej obrazuje nicość i upodlenie czasów przedwrześniowych, niż niejeden artykuł pisany ex post.

W wartkim rytmie montaży, przekrojów, zabawnych fraszek i artykulików, szczególnie zadziwia upartym egocentryzmem **Czesław Miłosz**, który w felietonie „Kolorowym atramentem" (nr 2 „Przekroju") dokładnie zaznajamia czytelnika ze swoją osobą, wtajemnicza go w swe prywatne gusty i obyczaje swego organizmu, i zarzuca pisarzom „Odrodzenia", że nie czynią podobnie:

„Odrodzenie" zastępuje mi książki, ale jakoś niezupełnie. Robi ono wrażenie pisma, pisanego przez niewidzialnych ludzi, niewidzialną ręką, na niewidzialnym papierze... Może są to ciała astralne, a może w ogóle fikcje. Żywy człowiek odpina od czasu do czasu marynarkę, poprawia się na krześle, uśmiecha się, puszcza kłąb dymu z fajki. Autorzy z „Odrodzenia" nigdy nie odpinają marynarki, nigdy nie uśmiechają się, nie zapalają fajki — jednym ciągiem, niezmordowanie piszą swoje olbrzymie wypracowania — tak, że podejrzenie, iż są to duchy nie ludzie, nie jest pozbawione podstaw".

Należy zauważyć, że autor w swym felietonie zbyt często odpina marynarkę, zaciąga się dymem i ziewa. Jego żywa osoba czai się jak duch za każdym słowem, zza każdej niemal litery Miłosz wystawia swój portrecik, zwykle ponętny i interesujący:

„Dzisiaj jeszcze łapię się na tym, że chowam kupione pismo do kieszeni, biegnę do domu, zamykam się w czterech ścianach... Czytając trzeci taki artykuł ziewam a zamiast czytać czwarty, wolę się przespać... Przepadam za pismami literackimi i zebrałem już komplet „Odrodzenia"... W mojej bibliotece mam tylko dwie (książki); „Operę za trzy grosze", którą kupiłem w Skierniewicach, po wyjściu z Warszawy i „Mein Kampf" Hitlera, którą znalazłem w poniemieckim mieszkaniu... Kiedy przychodziłem rano po chleb do sklepu przy ul. Różanej na Mokotowie i zastawałem kłótnię sąsiadek..."

Felieton to dyscyplina niełatwa. Autor nie może być w nim bohaterem, bo felieton go nie zmieści. Jedna szpalta nie wytrzyma ciężaru osoby Miłosza palącego fajkę, nawet jeśli ta osoba nie jest pozbawiona wdzięku. W felietonie jedynym akcentem osobistym autora może być oryginalność myśli — nigdy szczegół ubioru, gust kulinarny, czy sposób wiązania krawata.

Felieton w numerze 82 **„Dziennika Polskiego"** w rubryce „Z dnia" porusza sprawę demokratyzacji kultury w Polsce.

„Ważne jest..." — pisze felietonista — *„że, mimo dotkliwych bolączek i braków życia codziennego, praca kulturalno-oświatowa musi być już obecnie prowadzona z całą energią i intensywnością. Jest tak choćby dlatego, że sprawy kultury splatają się bardzo ściśle z innymi dziedzinami życia społecznego. Należy zwłaszcza wziąć pod uwagę, że kultura obejmuje również dziedzinę moralności, a więc stosunek człowieka do człowieka i człowieka do społeczeństwa. W rezultacie łatwo dojść do wniosku, że poprawa na poszczególnych odcinkach życia w dużej mierze uzależniona jest od podniesienia się poziomu kultury społeczeństwa."*

Pod felietonem, w tej samej szpalcie, notatka pt.: „Pierwszy Dom Kultury w Krakowie".

„Na Osiedlu Robotniczym w Dębnikach odbyło się ostatnio staraniem Miejsk. Urz. Prop. i Inform. uroczyste otwarcie I dzielnicowego Domu Kultury, tj. świetlicy dla wszystkich. Dom ten, pierwszy z wielu projektowanych, ma na celu... danie warstwom pracującym przez korzystanie z czytelni, bibliotek, z urządzanych odczytów, możności kształcenia się..., a z drugiej strony, przez urządzanie przedstawień, koncertów, czy zabaw — udostępnienie po pracy zasłużonego odpoczynku i rozrywki."

Domy kultury, świetlice, biblioteki, uniwersytety ludowe, ich rozpowszechnianie, poziom, organizacja, rodzaj działalności — oto doraźne problemy, od których rozstrzygnięcia zależy wielka sprawa kultury demokratycznej w Polsce. Impreza artystyczna w świetlicy powiatowego miasteczka ma dla dobra tej sprawy znaczenie, może nie mniejsze, niż poemat w piśmie literackim, wydawanym w tysiącach egzemplarzy. Przenikanie kultury od najszerszych podstaw, ciśnienie od dołu do szczytów, ożywiona twórczość komórek najdrobniejszych, decyduje o dobrym stanie zdrowia kulturalnego w społeczeństwie. W Objezierzu czy Koninie otwarto niedawno „Dom Kultury", dziesiątki innych powstają na wyzwolonych terenach śląskich. Komórki te nie zawsze znajdują się w rękach wytrawnych. Opieka nad nimi, wgląd w ich działalność, fachowe wskazania — powinny stać się obowiązkiem w pracy nad odrodzeniem kulturalnym kraju. **(kb)**

Kalendarz kulturalny

Biuro Odbudowy Stolicy powierzyło Społecznemu Przedsiębiorstwu Budowlanemu 60 pierwszych obiektów do remontu, względnie zabezpieczenia. Wśród obiektów tych znajdują się m. in. kościoły: Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście, św. Anny na Krakowskim Przedmieściu, Karmelitów, Wizytek, św. Krzyża, św. Jakuba, kościół na Czerniakowie i św. Stanisława Kostki na Żoliborzu; 7 budynków zabytkowych: Pałac Łazienkowski, Pałac Potockich, domy zabytkowe na Krakowskim Przedmieściu nr 32, 36, 43, Kamienica Baryczków na rynku Starego Miasta, Pałac Krasińskich; Gmachy państwowe i samorządowe: Sejm, Muzeum Narodowe, Bank Gospodarstwa Krajowego, Bank Rolny, Ministerstwo Oświaty, radiostacja w Raszynie, rozgłośnia w Alei Marszałka Stalina; ponadto szereg zakładów użyteczności publicznej i domów prywatnych. Termin zakończenia robót — 1 lipca r. b.

Teatr miasta Warszawy ma już swoją historię. Uruchomiony został 20 września 1944 r. po oswobodzeniu Pragi i pracował przez cztery miesiące w odległości półtora kilometra od frontu. Ze względu na bliskość działań wojennych był teatrem dosłownie wędrownym. Z sali kina „Syrena", gdzie początkowo został zainstalowany, przeniósł się do sali kina „Popularnego", gdzie czynny jest obecnie. W okresie tym wystawiono „Moralność Pani Dulskiej", „Śluby Panieńskie" i dwie bajki dla dzieci. Obecnie grane jest „Szczęście Frania" W. Perzyńskiego, a w próbach są „Burmistrz z Tylmondu" Maeterlincka, „Rewizor" Gogola, „Mysz kościelna" Fedora oraz Simonowa „Tak i będzie". W najbliższym czasie Teatr miasta Warszawy otworzy dwie nowe sceny: w sali kina „Figaro" (Marszałkowska, róg Hożej) i przy ul. Marszałkowskiej 8.

„Przeklęte srebro" Zofii Kossak-Szczuckiej. W piwnicach spalonego domu przy ul. Grójeckiej w Warszawie odnaleziono wśród innych pism autorki „Krzyżowców" dramat „Przeklęte srebro", który był grany przed wojną w Katowicach. Jest to dramat historyczny o walorach aktualnych, osnuty na tle walki o polskość Śląska (rzecz dzieje się na Opolu). Odnaleziony egzemplarz przekazano Ministerstwu Kultury i Sztuki.

W Warszawie w gmachu Muzeum Narodowego została otwarta wystawa pt. „Warszawa oskarża". Obszerny materiał fotograficzny ilustruje rozmiar zniszczeń niemieckich w stolicy przez porównanie z dawnym wyglądem miasta. W skład eksponatów wchodzą uratowane części pomników warszawskich i resztki po pamiątkach, które udało się zachować.

Dnia 29 kwietnia odbyło się w lokalu Związku Zawodowego Literatów Walne Zebranie oddziału Krakowskiego Związku, z udziałem prezesa Zarządu Głównego, Juliana Przybosia, pod przewodnictwem L. H. Morstina. Wybrano nowy Zarząd oddziału krakowskiego w osobach: Kazimierza Wyki — prezesa, Jana Wiktora i Jerzego Andrzejewskiego — wiceprezesów, Tadeusza Kwiatkowskiego — sekretarza, oraz St. W. Balickiego, Tadeusza Brezy, Zygmunta Fijasa, Stefana Otwinowskiego i Witolda Zechentera, członków zarządu. Ponadto Walne Zebranie dokonało wyboru delegatów do Krajowej Rady Narodowej.

W Krakowie zmarł dnia 6 maja wybitny malarz i poeta, Tytus Czyżewski, autor zbiorów poetyckich: „Zielone Oko" (1919), „Noc—Dzień" (1922), „Pastorałki" (1925), oraz dramatów eksperymentalnych: „Śmierć Fauna" (1920), „Wąż", „Orfeusz i Eurydyka", „Osioł i słońce" (1922). Pogrzeb Zmarłego odbył się na koszt państwa.

Śląski Oddział Związku Zawodowego Literatów w Katowicach urządził dnia 22 kwietnia w Katowicach inauguracyjny poranek literacki, poświęcony twórczości pisarzy skupionych na Śląsku, a w szczególności utworom przedstawicieli młodego pokolenia. Recytacje objęły poezje i prozę następujących autorów: Bartosza, Goluby, Hierowskiego, Horzycy, Kobieli, Osmańczyka, Szewczyka, Zabierzowskiej, Żelechowskiego, Żukrowskiego. Życiorysy i działalność autorów przedstawił we wstępnym słowie Zdzisław Hierowski.

Z inicjatywy Klubu Literackiego w Lublinie odbył się wieczór autorski Jana Parandowskiego. Po słowie wstępnym prof. Juliusza Kleinera, zabrał głos autor „Dysku Olimpijskiego", który w prelekcji swej omówił rolę Słowa podczas okupacji i zobrazował swą ewolucję duchową w latach wojny, której wyrazem są dwa dzieła ostatnie: „Koniec stulecia" i „Powrót do życia".

Bogate Archiwum Miejskie w Toruniu, które zasilało nie tylko polską, ale i zagraniczną naukę, uległo zniszczeniu. Najstarsze dokumenty wywieziono w końcu ub. r. do Niemiec, najprawdopodobniej do Marburga. Również kościelne księgi metrykalne miasta i powiatu toruńskiego, złożone na czas wojny w Archiwum, zostały wywiezione. Są to księgi obejmujące spisy ludności do XVIII w. włącznie. Podobny los spotkał Muzeum Miejskie, którego zbiory niemal w całości również wywieziono do Rzeszy. Pozostały obrazy Bacciarellego i innych malarzy XVIII w., poza tym część zbioru grafiki, starej porcelany wiedeńskiej, naczyń z epoki prehistorycznej. Jedne z drzwi ratuszowych odnaleziono w miejscowości Gorsk (pow. toruński). Uratowano również zabytkowy krucyfiks z kościoła Panny Marii, Arcydzieło rzeźby toruńskiej, Piękna Madonna z kościoła św. Jana, została wywieziona w niewiadomym kierunku. W Książnicy Miejskiej urządzili Niemcy za czasów okupacji bibliotekę niemiecką, wskutek czego usunęli z niej polskie książki, z których najcenniejsze wysłali do Rzeszy. W ostatnich dniach przed oswobodzeniem Torunia urządzenia biblioteczne oraz sam budynek doznały licznych uszkodzeń na skutek zakwaterowania tam frontowych oddziałów niemieckich.

Nowe czasopismo kulturalne. Centralny Ośrodek Krzewienia Kultury i Sztuki przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, przystępuje do wydawania czasopisma p. n. **„Wierzeje"**. Czasopismo to stawia sobie za cel upowszechnienie wartości kulturalnych. Redakcja ma zamiar specjalną uwagę poświęcić młodym talentom wszelkich dziedzin sztuki i otwiera im „Wierzeje". Adres redakcji: R. Zalewski, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Warszawa, Wileńska 2.

Ministersto Oświaty wydało ogłoszenie w sprawie zgłaszania strat i szkód bibliotecznych. W ogłoszeniu tym Ministerstwo wzywa wszystkich obywateli, których księgozbiory własne lub podlegające ich kierownictwu biblioteki urzędów, szkół, instytucji, stowarzyszeń, zakładów itd., ucierpiały czy to wskutek działań wojennych, czy też w czasie okupacji, do piśmiennego zawiadomienia o poniesionych stratach miejscowego urzędu gminnego, kierownictwa szkoły, lub najbliższego inspektoratu szkolnego. Wezwanie ministerstwa dotyczy również tych wszystkich, którzy byli świadkami niszczenia przez Niemców księgozbiorów polskich lub mają o tym ścisłe wiadomości.

Nakładem Oddziału Propagandy Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego, ukaże się niebawem zbiór wierszy i pieśni Armii Ludowej, który zawiera autentyczne utwory, komponowane i śpiewane w czasie okupacji przez partyzanckie oddziały Armii Ludowej.

Wydział Kultury i Sztuki Województwa Krakowskiego wzywa właścicieli zagrabionych lub zniszczonych przez Niemców dzieł sztuki do zgłaszania szczegółowych danych pod adresem Muzeum Narodowego w Krakowie.

Wojewódzki Urząd Informacji i Propagandy w Krakowie przystępuje do gromadzenia wszelkiego typu materiałów dokumentarnych (kroniki, opisy zdarzeń, świadectwa) odnoszących się do martyrologii narodowej okresu okupacji. Przyjmuje oraz rejestruje materiały Dział Historyczny Wojew. Urz. Inform. i Prop. Rynek Kleparski 4.

Po prostu

O publicystyce

Kiedy przegląda się wychodzące obecnie pisma, uderza przede wszystkim nikłość, więcej nawet, zupełny brak żywej, odważnej i twórczej publicystyki. Musimy mieć na tyle odwagi aby stwierdzić, że zaledwie znikoma część zjawisk i faktów, jakie kształtują nasze życie, znalazła swoje odbicie w druku, że o wielu istotnych zagadnieniach Polski współczesnej nie pisze się i nie mówi publicznie. Nie mamy żadnego powodu ukrywać, że większość naszych gazet i tygodników jest nudna. Jest nudna nie dlatego, aby brakło nam uzdolnionych pisarzy i publicystów; jest nudna, ponieważ artykuły umieszczane w prasie są tylko **pozornie** aktualne i współczesne. Dzieją się obok nas sprawy ważne, wielkie i nowe. A jednocześnie kształtuje się powoli pewna sztuczna i sztywna „dziennikarska rzeczywistość", wielka ściana gęstej mgły, poprzez którą dostrzec można jedynie niewyraźne kontury rzeczywistych zdarzeń. Można by bez większego trudu sporządzić za przykładem Flauberta nowy „słownik gotowych myśli", kolekcję stu zdań, które z drobnymi odmianami stylistycznymi przewijają się poprzez całą prasę od artykułów wstępnych aż po felietony na ostatniej stronie. Coraz częściej pisarz, kiedy zasiada do artykułu nie myśli, aby zgłębić i scharakteryzować temat, lecz aby wyrazić swój prywatny do niego stosunek. Zamiast pisać — jak jest, oświadcza, że jest „zachwycony", „szczęśliwy", „przekonany". Deklaracje nie zastąpią publicystyki.

Nie chcę być gołosłownym, oto parę pierwszych z brzegu przykładów. Niewątpliwie doniosłe jest zagadnienie demoralizacji społecznej, wywołanej wojną. A pisze się na ten temat jedynie to, że demoralizacja jest powszechna i że należy walczyć z paskarzami i szabrownikami. Nikt nie próbował zastanowić się, jakie skutki wywołać musiało przerzucenie się najbardziej aktywnych żywiołów robotniczych na zarobkowanie handlem wojennym, co oznacza proces rozpadu grupy społecznej i w ślad za tym idący zanik dotychczasowych norm obyczajowych i moralnych. Kto spróbował choćby niedokładnie i prowizorycznie obliczyć straty, jakie w szeregach polskiej inteligencji spowodowała okupacja, i to nie tylko przez wymordowanie wielkiej liczby specjalistów, ale również przez pięcioletni brak szkół średnich i wyższych. Gdzie i kiedy rozpoczęła się dyskusja na temat typu szkolnictwa, jaki ma być w Polsce? Czyżby nikogo nie obchodziło czy mamy mieć sześcio-, ośmio-, czy dziesięcioletnią szkołę powszechną? Kto pisał o przewrocie obyczajowym, jaki wywołało przymusowe rozdzielenie w czasie wojny setek tysięcy małżeństw? Gdzie się toczy dyskusja o odbudowie Warszawy? Czy pisze ktoś o rzeczywistych trudnościach uruchomienia przemysłu?

Owszem, jest jeden wyjątek! W ciągu ostatnich trzech miesięcy przeczytałem jeden żywy, twórczy, odważny, bogaty w myśli i fakty artykuł publicystyczny. Było nim.... przemówienie ministra przemysłu, ob. Hilarego Minca na Krajowej Radzie Narodowej. Przed wojną przemówienia ministrów były pełne urzędowych frazesów i urzędowego optymizmu, natomiast ich omówienia w prasie były pełne ironii, żywe i odważne. Obecnie jest odwrotnie, ministrowie mają odwagę krytyki, publicyści natomiast zdobywają się jedynie na frazesy.

Jakie są przyczyny obecnego upadku publicystyki? Pierwsza z nich to zwyczajny lęk przed wypowiedzeniem własnego zdania. Panuje niestety dotychczas przekonanie, że wszelka krytyka jest niedopuszczalna, że o administracji państwowej nie wolno pisać inaczej niż w tonie entuzjazmu i zachwytu. Jest to zwykła nieprawda! Demokracja polska jest dostatecznie silna, aby zniosła każdą rzeczową i uczciwą krytykę. Jeżeli milczymy o sprawach drażliwych, jeżeli bierzemy wodę w usta, wina jest tylko nasza. I trzeba raz wreszcie jasno powiedzieć, że nie kto inny, jak właśnie nasza rodzima reakcja stara się celowo wpoić w nas przekonanie, że o tym, czy o tamtym nie wolno wspominać, że pisać można tylko w jeden, jedyny „urzędowy" sposób. Wielu jeszcze uważa, że każdy artykuł zamieszczony w prasie posiada aprobatę jakichś „mitycznych" najwyższych czynników, i że wobec tego nie wolno z nim polemizować. Jest to znowu nieprawda. Każdy z nas pisze we własnym i tylko we własnym imieniu. Każdy z nas może i musi być krytykowany.

Druga przyczyna słabości obecnej publicystyki jest poważniejsza i o wiele bardziej trudna do usunięcia. Nie ma twórczej publicystyki bez wiedzy o życiu społecznym. Publicystyka wyrasta z faktów, z mocnego zespolenia się pisarzy z rzeczywistością współczesną. Publicysta wybiera i uogólnia fakty typowe i nigdzie bardziej jak na przykładzie publicystyki nie potwierdza się konieczność związku teorii z praktyką społeczną. Zniszczenie Warszawy spowodowało niestety konieczność utworzenia sztucznych środowisk literackich. Wielu pisarzy przeniesionych na obcy grunt żyje w warunkach całkowitej izolacji, bez możności dotarcia do żywego środowiska społecznego.

Premier w swoim exposé wspomniał, że „stworzone zostały nowe wypoczynkowe domy pracy dla pisarzy". Trudno o lepszą charakterystykę. Większość nas mieszka rzeczywiście w **„wypoczynkowych** domach pracy". Stąd przewaga wspomnień i deklaracji nad twórczą i żywą publicystyką.

Nie ma publicystyki, powtarzam, bez znajomości faktów. Do faktów tych musimy dotrzeć. Musimy wiedzieć o tym, co się wokół nas dzieje. Niestety, nie zawsze praca pisarza spotyka się z należytym zrozumieniem i poparciem ze strony urzędów państwowych. Wojewódzkie wydziały informacji i propagandy na ogół nie zdają sobie zupełnie sprawy z zadań, do których je powołano. Urząd Łódzki rozpoczął swoją działalność od rozplakatowania na ulicach miasta wierszowanej reklamy:

„Powstał świeżo Urząd Łódzki
Propagandy wojewódzkiej,
Który wieść o polskim czynie
Rozgłosi aż hen w Berlinie."

Obecnie ten sam urząd rozpoczął pracę nad przygotowaniem przewodnika... adresowego po innych urzędach łódzkich. Spytajcie go natomiast, ile fabryk pracuje w Łodzi i jaki jest stan zatrudnienia, a odpowie, że to nie wchodzi w zakres jego kompetencji.

Musimy wszyscy wydać stanowczą i bezwzględną walkę owej zadowolonej z siebie i rumianej „urzędowej rzeczywistości", jaka na łamach prasy i biurkach referentów zasłania prawdziwą i rzetelną wiedzę o tym co się w Polsce dzieje.

Jan Kott

„Teatr Polskiego Radia" w Krakowie ogłosił konkurs na słuchowisko. Warunki konkursu nie ograniczają tematyki utworu z tym zastrzeżeniem, by posiadał on prócz walorów radiofonicznych charakter społeczny. Słuchowisko może być przeznaczone dla dzieci i młodzieży lub dorosłych i musi się mieścić w ramach audycji 30 do 60 minutowej. Wyznaczono trzy nagrody w wysokości 5000 zł., 3000 zł. i 2000 zł. Termin nadsyłania utworów mija 15 czerwca 1945 r. Należy je nadsyłać pod adresem: „Teatr Polskiego Radia", ul. Wróblewskiego 6.

KRONIKA

„Istoriczeskij Żurnał" nr 1—2 (137—138) zawiera szereg prac mających ogólne znaczenie. W. Szunkow pisze o walce ludu rosyjskiego przeciw najazdowi Polaków i Szwedów na Moskwę na początku XVII w. Prof. M. Tichomirow zajmuje się stosunkami między Rusią a Bizancjum. O powstaniu polskim 1863 r. ogłasza pracę M. Misko. Koloniami angielskimi na początku XVII w. (przed rewolucją) i początkami imperium brytyjskiego zajmuje się A. Samojło. N. Nikolski napisał rozprawę o prywatnym posiadaniu i prywatnej uprawie ziemi w starożytnej Babilonii i Assyrii. Przegląd prac rosyjskich o nowoczesnej historii Francji daje prof. A. Mołok. A. Narocznicki omawia rosyjskie prace dokumentarne o zagadnieniach zagranicznej polityki Rosji i stosunków międzynarodowych, wydane do roku 1917. Szyk bojowy starożytnych Słowian jest tematem pracy A. Klibanowa. W. Lubliński pisze o bibliotece Woltera, znajdującej się w Leningradzie. Zeszyt uzupełnia dział krytyczny i bibliograficzny.

„Upadek Paryża". Powieść pod tym tytułem o katastrofie narodu francuskiego w roku 1940 napisał Ilia Erenburg. Książka ma nie tylko wartość literacką, ale też jest dużej wagi dokumentem historyczno-politycznym.

Biblioteka Woltera. Po śmierci znakomitego pisarza (1778) Katarzyna II kupiła jego bibliotekę za cenę 30 tysięcy ówczesnych rubli. Biblioteka została umieszczona w jednej z sal petersburskiego Ermitażu. Przez 70 lat była zamknięta i niedostępna dla uczonych. Pierwsi zapoznali się z nią uczeni francuscy. W roku 1861 została oddana do Biblioteki Publicznej, ale i wtedy jeszcze nie została zbadana przez uczonych. Sytuacja zmieniła się dopiero po rewolucji 1917 r. W r. 1927 przyjechali do Leningradu dla badań nad biblioteką Woltera uczeni amerykańscy, G. R. Havens i N. L. Torrey. Przedmiotem badań były uwagi Woltera na marginesie czytanych przez niego książek. Te marginalia stanowią niezwykłą wartość naukową. Do badań nad biblioteką Woltera zabrali się również uczeni rosyjscy. Przygotowuje się do druku jej katalog. Poza tym opracowuje się wydanie wszystkich marginaliów Woltera oraz wydanie nie opublikowanych dotąd rękopisów. Będzie to duża wielotomowa praca. Jest rzeczą godną uwagi, że Wolter nie był wcale bibliofilem; biblioteka jego stanowi podręczny aparat, intensywnie wyzyskiwany i aktywnie organizowany. Wolter czytał dużo, uważnie, i w różnych językach. Są w jego bibliotece książki francuskie, łacińskie, włoskie, hiszpańskie, angielskie; mało tekstów greckich, całkiem znikoma ilość niemieckich, 2—3 książki polskie. W bibliotece Woltera znajduje się 20 wielkich tomów rękopisów. W rękopisach tych zawarte są wszystkie etapy życia i twórczości wielkiego pisarza. Opracowanie i opublikowanie materiałów wolterowskiej biblioteki będzie miało ogromne znaczenie zarówno dla historyków, jak i dla badaczy literatury.

Monumentalna praca. W Oksfordzie wyszło w r. 1941 dzieło M. Rostowcowa „Społeczna i ekonomiczna historia świata hellenistycznego", („The social economic history of the hellenistic wordl"), zawierająca w trzech tomach około 1800 stronic. Dzieło to jest poważnym wydarzeniem w literaturze naukowej o świecie antycznym. Dotychczas ekonomiczna historia świata hellenistycznego była przedmiotem tylko monograficznych opracowań. Po raz pierwszy Rostowcow daje obraz całej historii społecznej i ekonomicznej hellenizmu.

Historia naszych dni. Historycy radzieccy zajmują się nie tylko tematami odległymi, ale również niedawnymi, po prostu sprawami dziejącymi się w naszych oczach. Np. docent P. Łoginow napisał rozprawę naukową o dziejach gwardyjskiej dywizji, która brała udział w obronie Moskwy w roku 1941. Kapitan P. Bielecki opracował naukowo temat „Partyzanci obwodu moskiewskiego w obronie Moskwy i obwodu moskiewskiego w latach 1941—42". Obydwie prace znalazły uznanie uczonych fachowców.

„English scholars". Pod tym tytułem wyszła w r. 1943 w Londynie książka D. G. Douglasa, mająca duże znaczenie dla historiografii angielskiej. Jest to opracowanie dzieł angielskich historyków-mediewistów z lat 1660—1730. Dużą zasługą angielskiej historiografii tych lat było opublikowanie średniowiecznych kronik i innych dokumentów, dotąd nieznanych.

„Słownik amerykańskiej historii" (Dictionary of American history") pod redakcją J. T. Adamsa i R. V. Colemana ukazał się w Nowym Jorku. W sześciu tomach na zgórą 2500 stronicach słownik zawiera 6425 artykułów, traktujących wszystkie dziedziny historii i nauk pokrewnych, a także wydarzenia z historii europejskiej i powszechnej, mające jakikolwiek związek z Ameryką.

Prof. W. Piczeta, członek Akademii Nauk w Moskwie, kończy trzecią część swojej „Historii Polski".

Przegląd muzyczny

Ostatni poranek Filharmonii Krakowskiej przyniósł program, poświęcony wyłącznie muzyce polskiej. Na pierwszym miejscu wypadnie tu wymienić tak ze względu na jej wartość artystyczną, jak i na dobry poziom wykonania Karola Szymanowskiego Uwerturę Koncertową (powtórzenie). „Odwiecznym pieśniom" Karłowicza brakło tej wewnętrznej dynamiki, która cechuje wszystkie utwory, zrodzone bezpośrednio lub pośrednio w kręgu ideowym wagnerowskiego „Trystana"; były też i dźwiękowe niedociągnięcia, wynikające z niedostatecznego jeszcze zgrania się nowego zespołu. Nowością był Psalm 136 „Ojczyzna" **Feliksa Nowowiejskiego** na chór mieszany i orkiestrę, napisany z dużą rutyną, ale obracający się w ramach efektów konwencjonalnych. Chór Filharmonii, który wystąpił tu po raz pierwszy w nowym składzie, brzmiał dobrze, równo i ładnie pod względem dźwiękowym. Solistką poranku była śpiewaczka dr **Stani Zawadzka**, która wykonała z towarzyszeniem orkiestry arie z oper Moniuszki, Różyckiego i Nowowiejskiego. Zarówno głosowo, jak i pod względem interpretacji wykazała w tych utworach walory na miarę europejską: znakomite opanowanie techniczne, nieskazitelną muzykalność i nerw dramatyczny. Dyrygował **Zygmunt Latoszewski.**

W ramach koncertów urządzanych w sali Błękitnej przez **Związek Zawodowy Muzyków,** odbyły się recitale **Ireny Dubiskiej** i **Stanisławy Wiśniewskiej.** Irena Dubiska odegrała w bardzo dobrej formie program złożony z utworów Tartiniego, Beethovena, Szymanowskiego i in. Dobra technika, zrozumienie stylu utworu i głęboka muzykalność składają się u niej na wykonanie o wysokim poziomie artystycznym. **Halina Ekierówna** przy fortepianie wykonała subtelnie nie tylko partie akompaniamentu, ale też i te, gdzie fortepian wciągnięty jest do roli współrzędnej ze skrzypcami.

Wysokim poziomem odznaczał się też recital śpiewaczy **Stanisławy Wiśniewskiej.** Program, umiejętnie dobrany, zawierał arie i pieśni dawnych kompozytorów, począwszy od pięknej pieśni Trubadurów (w oprac. Yvette Guilbert) poprzez kompozytorów starohiszpańskich, Monteverdiego, Carimissiego, Scarlattiego, Durante, aż do Glucka, Haendla, Bacha i Mozarta. Piękny altowy głos o rozległej skali i wyrównanym brzmieniu idzie u Wiśniewskiej w parze z dużą muzykalnością i poważnym podejściem do swego zadania. Do powodzenia wieczoru przyczynił się w znacznej mierze współudział znanego pianisty, **Jana Hoffmana,** który w skromnej roli akompaniatora cyzelował stylistyczne finezje wykonywanych kompozycji.

Stefania Łobaczewska

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M — 01560